GRATULACJE dla „WIDZEWA"!

STR. 1 i 7

TAJEMNICZY WYPADEK

STR. 10

BOHATEROM 1905 ROKU

Fotoreportaż Włodzimierza PARYSA

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 26 (916) 26 CZERWCA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Uzupełnieniem niejako poprzedniego numeru, w którym dostarczyliśmy Czytelnikom pełny zestaw dokumentacji i publicystyki na temat wydarzeń rewolucyjnych 1905 roku w Łodzi, jest dzisiejszy fotoreportaż Włodzimierza Parysa z okazji odsłonięcia „Pomnika Czynu Rewolucyjnego". Łódź szczególnie uroczyście obchodziła „dni czerwcowe", które na zawsze zapisały się w histotrii rewolucyjnych walk proletariatu.

Innym wydarzeniem, które ekscytuje na co dzień są spektakle „teatru narodów", odbywające się w Warszawie. Wszystkch miłośników „wielkiego teatru" odsyłamy do artykułu Jerzego Katarasińskiego — „Międzynarodowy sezon", w którym znajdzie sporo szczegółów i refleksji na temat tego niewątpliwie szczególnego wydarzenia w naszym życiu kulturalnym. Oczywiście do tych wydarzeń wkrótce wrócimy.

Sympatykom i kibicom sportowym polecamy dzisiaj dwa artykuły: w cyklu sport i prawo — Bogda Madej dzieli się z Czytelnikami swoimi refleksjami na temat popularnego piłkarza M. Bulzackiego, tudzież jego adwersarzy i jakie stąd wynikają wnioski; a takoż temat sportowy numer 1 — awans „Widzewa" do pierwszej ligi.

Jest to na pewno problem zbyt obszerny by skwitować to tylko jednym artykułem, z tych też względów przyrzekamy, iż wrócimy do niego w najbliższym czasie, aby w pełni usatysfakcjonować ludzi, którzy swoim rzetelnym wysiłkiem sprawili nam tyle radości. Mamy na myśli nie tylko trud piłkarzy i ich trenera oraz kierownictwo klubu, ale niezmierzone rzesze wiernych, z prawdziwego zdarzenia KIBICÓW tej drużyny.

Sprawa „Watergate", jak ją się popularnie nazywa, nie schodzi w dalszym ciągu z łamów prasy światowej. Jej szczególnym akcentem, rzucającym specyficzne światło na kuluary życia politycznego w Stanach Zjednoczonych, jest sprawa senatora Edwarda Moore Kennedy'ego. Bogato ilustrowany odcinek trzeci z cyklu, który prezentuje nam Andrzej Blajer, zatytułowany „Tajemniczy wypadek", rozszyfrowuje kulisy tego wydarzenia.

HISTORIA OBYCZAJÓW (II)

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

PRZYGODY MIŁOSNE BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

W tradycyjnej, kształtującej się w dużej mierze pod wpływem Kościoła, moralności seksualnej już w czasach średniowiecznych wytworzyła się podwójna skala ocen: jedne kryteria stosowano wobec swobody obyczajowej mężczyzn, drugie — odmienne, wobec postępowania kobiet. W wiekach późniejszych różnice te zostały pogłębione i utrwalone. Szczególnie mocno wystąpiło to w pruderyjnym XIX wieku, który zaciążył nad obyczajami naszego stulecia. Rozwiązłość mężczyzn była tolerowana, swoboda seksualna kobiet uchodziła jednak za zjawisko skandaliczne. W związku z tym przeżycia miłosne kobiet były na ogół przemilczane, wobec tych spraw zastosowano silną obyczajową cenzurę, w tych czasach powstało przysłowie, że „nic tak nie plami honoru kobiety jak atrament". Silne relikty tych postaw występują jeszcze w czasach obecnych. Przecież do dziś nasza szeroka opinia łagodniej traktuje sukcesy erotyczne mężczyzn niźli romansowanie kobiet. Jest rzeczą pewną, że w sprawach płci ciąży nad nami w dalszym ciągu pewne tabu, które toleruje pluralizm uczuciowy i seksualny mężczyzn, potępia zaś te zjawiska u kobiet.

Poświęcam tym sprawom tyle uwagi ze względu na to, by zrozumieć postępowanie Barbary, by jej przeżyć nie oceniać tylko według tradycyjnych, ukształtowanych w naszym kręgu kulturowym kryteriów. Należy pamiętać, że normy moralne ulegają zmianom, zależą także od różnic klasowych, narodowościowych, kulturowych. Obyczaje seksualne możnych pań Wielkiego Księstwa Litewskiego były inne niż Polek, zezwalano tam na utrzymywanie pozamałżeńskich związków nie widząc w tym nic niemoralnego, zdaje się iż tolerowano nawet pluralizm seksualny kobiet. Wynikało to stąd, że Litwa kierowała się innymi normami moralnymi, znajdowała się w polu oddziaływań kultury ruskiej.

W XVI wieku panujące tam normy i obyczaje ulegają jednak zmianom. Pod wpływem zachodnim, przede wszystkim polskim, w połowie stulecia nastąpiło zaostrzenie rygorów, polonizacja obyczajów przyniosła ograniczenie swobody erotycznej kobiet po staropolitewskim liberalizmie, przynajmniej w tej dziedzinie, nastąpił okres represji. Stąd też nasza Barbara mogła swobodnie i wręcz jawnie romansować jako Radziwiłłówna czy pani Gasztołdowa, z chwilą jednak, gdy została poślubiona przez polskiego władcę, gdy znalazła się w polu pełnego oddziaływania kultury polskiej, w tym również

Dalszy ciąg na str. 6

SPORT

GRATULACJE DLA „WIDZEWA"!

Pod koniec minionego sezonu piłkarskiego wytworzyła się w Łodzi niezwykle skomplikowana sytuacja. Pierwszoligowa drużyna ŁKS broniła się wszystkimi możliwymi sposobami przed spadkiem do II ligi. Natomiast drugoligowa drużyna RTS Widzew — lider grupy północnej — uparcie walczył o awans do I ligi. Wcześniej z Motorem Lublin, a następnie z gdańską Lechią.

W środę, 18 czerwca 1975 roku, wyjaśniła się sytuacja ŁKS. Po ostatniej kolejce rozgrywek wiosennej rundy ŁKS uplasował się na 13 miejscu, mając wprawdzie tyle samo punktów, co spadająca Arka z Gdyni, czy warszawska Gwardia, ale lepszy od nich stosunek bramek.

Los **Widzewa** zdecydował się w niedzielę, 22 czerwca 1975 roku. Wynik już wszyscy znamy: **WIDZEW AWANSOWAŁ DO I LIGI!** Ale rozstrzygnięcie losów obu łódzkich drużyn piłkarskich na sezon 1975/1976 wcale nie zmieniło sytuacji sportowej Łodzi. Rok temu, pod koniec sezonu 1974/1975 drużyna piłkarska **RTS Widzew** też była bliska awansu, ale wtedy panowała w mieście opinia, że Widzewowi taki awans niepotrzebny.

— Po co wam pierwsza liga? — pytano działaczy i zawodników RTS Widzew. **— Po co wam dodatkowe**

Dalszy ciąg na str. 7

LATO

W MIĘDZYZDROJACH:

PŁAĆCIE ZA WSZYSTKO

— Niech już wreszcie będzie słońce! Siedzimy tu jak nieptki, ile to już, Rysiek? Prawie miesiąc... Ci w smażalniach robią biznes. Ci od szaszłyków też. Założę się, że nabili już nieźle kabzę. W przyszłym roku trzeba będzie pomyśleć. Ludzie mają forsę, mówię ci, te sukinsyny mają szmalcu jak lodu. Widziałeś wczoraj przy molo? Kupowali krawaty, koszule, spodnie, wszystko im mało. Kupili by molo, gdyby kto im sprzedał. Ty, Rysiek, kupowałbyś ciuchy na wczasach? Jak boga kocham, powariowali. Wczoraj na plaży puchy. Złaźem się jak pies — gówno sprzedałem. Ale wymyśliłem nowe hasło: „Każdy stary, każdy młody, kupi swojej damie lody". Niezłe, co? Jak nie kupi, znaczy nie jego dama, he, he, he, ma się głowę... Wiesz, po ile łóżko na tym strychu, u starej Budziszowej? Trzy dychy. Jacyś z Kielc wzięli, z pocałowaniem w rękę. A autostopowiczom wypuściła ten chlew, po dychu od łebka za noc, nieźle, nie? Bracie, mieszkać tu, to urodzić się w czepku. Wynajmujesz pokoje, wynajmujesz chlew, wynajmujesz szopę, wynajmujesz strych. Międzyzdroje, chłopie, tu się płaci za nazwę... Chce pan rozbić namiot na podwórku? Proszę bardzo, dycha dziennie. Na campingu taniej? No, ale tu ciepła woda na miejscu, plus używalność kuchni. Nie? Nie szkodzi, już inni się znajdą. Tak, bracie, tak trzeba z nimi gadać. Chcą morza, słońca — niech płacą. Ty, cztery złote wstęp na plażę, dobre, nie? Do południa cztery, po południu cztery, osiem złotych jak za psa. Ile już trafiliśmy? Ja osiem kafli. Jezu, żeby tylko było słońce! Wczoraj musiałem sprzedawać cytrynadę po cztery złote. Antek mówił, że w zeszłym roku, jak stuknęło trzydzieści stopni, sprzedawał po siedem. Masz pojęcie?! Jezu, żeby tak przygrzało!

No jak, zerwałeś tę kelnerę? Działaj bracie, patrzy na ciebie jak krowa na malowane wrota. Nogi ma słabe, ale przody niezłe. Lutek mówi, że żarł u niej kiedyś przez cały sezon. Załatw ją stary, od przybytku łeb nie boli... Jutro ma być pogoda, w telewizji zapowiadali, może wreszcie zaczną się te upały....

II.

— „Tak, proszę pana, wejście na plażę cztery złote, może pan wykupić abonament, na trzy tygodnie, pięćdziesiąt cztery złote.. Dziecko też płaci oczywiście, ale ja panu powiem prywatnie — jak pan kupi abonament, to nikt się nie będzie dziecka czepiał...

„Uwaga. Dziś temperatura powietrza 28 stopni temperatura wody 17 stopni. Ze względu na silny wiatr i dużą falę, kąpiel na plaży strzeżonej wzbroniona.

Dalszy ciąg na str. 5

"RUBINOWA HORTENSJA - 75"

Nawiązując do wieloletnich już tradycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego o „Rubinową Hortensję", 21 czerwca br. w salach zamku królewskiego w Piotrkowie Trybunalskim w obecności jury, przedstawicieli organizatorów oraz nowych władz polityczno-administracyjnych województwa piotrkowskiego, dokonano uroczystego podsumowania XI Konkursu oraz wręczono nagrody i puchary tegorocznym laureatom.

Do sekretariatu XI Konkursu „Rubinowej Hortensji" — 75 wpłynęło 199 prac w tym 179 utworów poetyckich. W konkursie wzięło udział 84 autorów reprezentujących środowiska młodoliterackie całego kraju. Jednak o randze konkursu świadczą już dziś nie tylko jego duży zasięg i popularność, ale również — według zgodnej oceny jurorów — dobry, wysoki poziom przeważającej większości prac.

A zaczęło się przecież nader skromnie. Z inicjatywy grona zapaleńców z klubu młodoliterackiego działającego przy Zarządzie Wojewódzkim ZMS w Łodzi, grupy młodych piotrkowian, zafascynowanych literaturą z klubu literackiego, a raczej grupy „Trybunalik" oraz red. „Gazety Ziemi Piotrkowskiej... zorganizowano w 1965 roku Turniej Jednego Wiersza. Impreza udała się i przeszła oczekiwania organizatorów, których grono powiększyła znana z rewolucyjnych tradycji oraz pięknych wyrobów szklanych — Huta Szkła Gospodarczego „Hortensja", fundując odtąd kryształowe puchary dla najlepszych wojewódzkiego, a następnie ogólnopolskiego konkursu literackiego o „Rubinową Hortensję".

Od 1967 roku organizatorzy zapraszają także do udziału w konkursie młodych prozaików. Odtąd, konkurs słynący z wartościowego dorobku poetyckiego, w ostatnim zwłaszcza okresie wyróżnia się także wartościowymi utworami pozatorskimi. Miarą rosnącej z roku na rok rangi „Rubinowej Hortensji" staje się udział w niej młodych twórców ze wszystkich środowisk i ośrodków w kraju; w konkursie tym zdobywało nagrody i wyróżnienia wielu znanych i legitymujących się już dzisiaj poważnym dorobkiem literackim poetów i prozaików.

W konkluzji bardzo żywej, i wręcz namiętnej dyskusji, która dominowała na spotkaniu laureatów XI Konkursu z jego organizatorami oraz przedstawicielami jury, stwierdzono jednoznacznie — idea konkursu **„Rubinowej Hortensji" będzie kontynuowana przez działaczy ziemi piotrkowskiej.**

W oczekiwaniu ogłoszenia następnej „Rubinowej Hortensji", podajemy poniżej pełną listę nagrodzonych i wyróżnionych autorów w XI konkursie:

W DZIALE PROZY

I nagrody w wysokości ustalonej regulaminem jury postanowiło nie przyznać. Równocześnie zadecydowano, iż przyznane zostaną dwie równorzędne nagrody drugie.

II nagrody w wysokości 3.500.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„SPALONE MOSTY"**, godło PIOTR autor Maksymilian KOZŁOWSKI, 85-738 Bydgoszcz, ul. Szajnochy 21

II nagroda w wysokości 3.500.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„Z WŁASNEGO PODWÓRKA REPORTAŻ SUBIEKTYWNY"**, godło KALEJDOSKOP, autor Teresa LECHOWSKA, 97-300 Piotrków Tryb., ul. Jagiellońska 9 bl. 8 m 41

III nagrody jury postanowiło również nie przyznawać. Równocześnie postanowiono przyznać następujące wyróżnienia:

I wyróżnienie w wysokości 1500.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„DOCZEKAĆ ŚWITU"**, godło RAJ UTRACONY, autor: Jerzy NAWROCKI, 35-064 Rzeszów, Rynek 25/7

II wyróżnienie w wysokości 1500.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„PIĘKNA BRZYDULA"**, godło MALWA, autor: Rafał ORLEWSKI, 97-300 Piotrków Tryb., Wyzwolenia 8/73

III wyróżnienie w wysokości 1500.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„CZWARTY PŁATEK KONICZYNY"**, godło BURSZTYN, autor: Jerzy NAWROCKI, 35-064 Rzeszów, ul. Rynek 25/7

IV wyróżnienie w wysokości 1500.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„KOCIOŁ"**, godło DOROTA, autor: Stefan PASTUSZEWSKI, Bydgoszcz 13, ul. 1 Maja 216/8

V wyróżnienie w wysokości 1000.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„TRZECIA MGŁA"**, godło KOSBA, autor: Ludwik GEBEL, 91-803 Łódź, ul. Marynarska 9 m 19.

W DZIALE POEZJI

I nagroda w wysokości 4000.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„KALEJDOSKOP"**, godło: KONAR, autor: Ludwik GEBEL, 91-803 Łódź, ul. Marynarska 9/19

II nagrodę w wysokości 3.000.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za utwór pt. **„SKŁADANIE SŁÓW"**, godło: KAMIL, autor: Zenon DUNAJCZYK, 98-200 Pabianice, ul. Wileńska 35

III nagrodę w wysokości 2.000.— zł i puchar „Rubinowa Hortensja" przyznano za pracę pt. **„UZASADNIENIE"**, godło WIKTOR, autor: Janusz LENCZOWSKI, Kraków, ul. Jaracza 5 m 8

SPORT I PRAWO

BULZACKI NIE STWORZYŁ PRECEDENSU

18 czerwca 1975 roku zakończył się sezon piłkarski 1974/75. ŁKS broniący się przed spadkiem do drugiej ligi zajął przedostatnie — 13 miejsce. Ostatnia kolejka spotkań I ligi przyniosła szereg zaskakujących rezultatów. Na boiskach przodowały drużyny, które broniły się przed degradacją do drugiej ligi. Ta specyficzna atmosfera, jaka od dłuższego czasu towarzyszy rozgrywkom piłkarskim — przede wszystkim w ekstraklasie — wywołuje zaniepokojenie opinii publicznej. I słusznie, wiele bowiem sportowych wydarzeń niewiele ma wspólnego ze sportem.

Z tej atmosfery wyrosła też sprawa, którą chcielibyśmy dziś przedstawić, aczkolwiek zaczęła się ona pod koniec ubiegłego roku. W 22 numerze „KULIS" **Janusz Atlas** relacjonuje proces, jaki przed sądem w Warszawie wytoczył dziennikarzowi piłkarz — MIROSŁAW BULZACKI z ŁKS.

„...sprawa cała otoczona była tajemnicą sądowej niejasności — pisze Janusz Atlas — **przez co nie stała się „sensacją dnia", na które to określenie w pełni zasługuje. Mieliśmy bowiem do czynienia ze zjawiskiem precedensowym. Czy dziennikarz ma prawo krytykować piłkarza, powszechnie znanego za to, iż swą postawą na boisku i poza nim, sprowadza nieszczęście na drużynę i klub, których barw broni?"**

Janusz Atlas występował w tym procesie jako świadek. Proces początkowo traktowany jako niejawny, nie znalazł się wśród sprawozdań sądowych publikowanych przez prasę. Szkoda, że tak się stało. Dopiero relacja Janusza Altmana przełamuje ciszę, jaka panowała koło tej sprawy.

Mirosław Bulzacki pozwał dziennikarza przed sąd na podstawie artykułu 178 § 2 kodeksu karnego:

„Kto podnosi lub rozgłasza nieprawdziwy zarzut o postępowaniu lub właściwościach innej osoby (...) w celu poniżenia jej w opinii publicznej lub narażenia na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech".

Zdaniem Mirosława Bulzackiego § 2 artykułu 178 kk naruszył dziennikarz tygodnika „PIŁKA NOŻNA" — ZYGMUNT LENKIEWICZ.

10 grudnia 1974 roku na łamach „PIŁKI NOŻNEJ" ukazał się reportaż **Zygmunta Lenkiewicza** zatytułowany „ŁKS — BULZACKI I SPÓŁKA". W reportażu tym Zygmunt Lenkiewicz pisze między innymi:

„Po kilku minutach takiej gry (było to jesienią, a trening drużyny ŁKS odbywał się podczas siąpiącego deszczu, na błotnistym boisku — przyp. B. M.) **wszyscy grający byli umazani błotem od stóp do głów. W ogromnej kałuży skąpali się nie raz, nie dwa i Tomaszewski i Kasalik. Tylko jeden piłkarz schodził z treningu czysty i suchy, jeśli nie liczyć zabłoconych butów i brudnego śladu na koszulce po piłce, która przypadkowo trafiła go w pierś. Był nim Mirosław Bulzacki. Obserwując jego zachowanie na treningu można było się dobrze bawić. On, stoper, grający przecież dobrze głową, obrał sobie miejsce do gry na boku, tam gdzie było względnie sucho. Jak ognia unikał środka pola karnego, owej kałuży. W ten sposób konsekwentnie postępując, zszedł z boiska suchy, ale śmiem twierdzić, że nie odniósł z treningu żadnej korzyści — przez cały czas właściwie statystował."**

Zygmunt Lenkiewicz przeprowadził wiele rozmów w Łodzi na temat sytuacji panującej w piłkarskiej jedenastce ŁKS. Relacjonując te rozmowy, przypomina udział Mirosława Bulzackiego w pamiętnym meczu na Wembley oraz jego statystowanie na ławce rezerwowych podczas mistrzostw świata. Przedstawił też opinie swoich rozmówców na temat sposobu życia łódzkiego piłkarza i jego piłkarskich możliwości. Zygmunt Lenkiewicz pisze dalej:

„Przypominam sobie też pewną rozmowę z Bulzackim przeprowadzoną na cztery miesiące przed mistrzostwami świata, kiedy to był absolutnie pewny swego miejsca w reprezentacji. Między innymi spytałem, w jakim klubie by chciał grać poza ŁKS. Odpowiedź brzmiała: „Mogę nawet w trzeciej lidze, byle lepiej płacili". Odpowiedź na pytanie o zainteresowania brzmiała z kolei: „wino, kobiety, śpiew". Wtedy wydawało się to żartem. Teraz już bym tego tak nie oceniał."

23 grudnia 1974 roku WŁ. LACH, na łamach „GŁOSU ROBOTNICZEGO" podjął polemikę z „PIŁKĄ NOŻNĄ" i innymi pismami, które w tym czasie publikowały obszerne materiały na temat piłkarstwa. WŁ. LACH, przytaczając fragment artykułu traktujący o zachowaniu się Mirosława Bulzackiego na treningu pisze między innymi:

„Gotowi jesteśmy przysiąc, że tak było! Ale czy tylko na treningu ŁKS zjawił się nagle pierwszy w naszym futbolu obibok? Warszawa ich nie ma? Naturalnie ma i to niejednego, podobnie jak Łódź, lecz po co ruszać swoich niedźwiadków, skoro w polowaniu na grubego zwierza łowieckie tereny znajdują się o 136 km dalej, a pociągi szybko mkną."

Artykuł WŁ. LACH, z „GŁOSU ROBOTNICZEGO" znalazł się w aktach sprawy Mirosława Bulzackiego występującego przeciw Zygmuntowi Lenkiewiczowi. Jenusz Atlas tak pisze na ten temat:

„Przesłuchiwany przez sąd powiatowy w charakterze świadka, Bulzacki plątał się w zeznaniach. Obstawał przy swoim, że Lenkiewicza nie zna, ale nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało, że kilka miesięcy wcześniej ukazał się na łamach „PN" wywiad z nim — prawda, że pochlebny — którego autorem był nikt inny, jak... oskarżony przez niego dziennikarz. Nie umiał też odpowiedzieć, dlaczego nie pozwał przed sąd red. Lachowicza i dlaczego tekst z „Głosu Robotniczego", w którym expressis verbis nazwany został obibokiem, złożył w poczet... dowodów oskarżenia Zygmunta Lenkiewicza!"

Janusz Atlas nie traktuje tej sprawy jako zwykłej „pyskówki", jako decyzji obrażonej „gwiazdy" polskiego piłkarstwa, bo Mirosław Bulzacki sam już nie wierzy w powrót do reprezentacji, a oskarżenie przeciw dziennikarzowi, wniósł po pół roku od ukazania się reportażu w „PIŁCE NOŻNEJ", Janusz Atlas uważa, że:

„... nie wolno traktować procesu wytoczonego przez piłkarza dziennikarzowi jedynie jako przypadku jednostkowego. Śmiem twierdzić, że był to świadomy wręcz zamach na dziennikarskie prawo do pisania o „świętości" — jaką w ostatnich czasach stało się nasze piłkarstwo — nie tylko ciepło, różowo, pozytywnie. Nie posądzam o tak niecny zamiar Mirosława Bulzackiego, którego zachowanie na sali sądowej wskazywało, iż nie bardzo wie, że inspiratorami wszczęcia sprawy byli tzw. „działacze", którym zdawało się, iż wystarczy podstawić piłkarza o sławnym nazwisku by dziennikarzom ujawniającym nagminnie ciemne sprawy „klubowego życia": kaperownictwo, żonglowanie posadami trenerów, wyprawy do ciepłych krajów itd., raz na zawsze zamknąć usta! Ale nie udało się."

Janusz Atalas pisze dalej:

„Sąd Powiatowy dla m. st. Warszawy orzekający w składzie: jeden sędzia zawodowy i dwóch ławników, uniewinnił Zygmunta Lenkiewicza z zarzutu art. 178 § 2, na jaki powoływał się oskarżyciel prywatny, decyzję swą opierając na art. 179 kk, który głosi, iż nie ma przestępstwa, jeżeli: „zarzut uczyniony publicznie jest prawdziwy a sprawca działa w obronie społecznie uzasadnionego interesu lub w przeświadczeniu opartym na uzasadnionych podstawach, że takiego interesu broni". Kosztami postępowania sąd postanowił obarczyć Mirosława Bulzackiego."

I tak Mirosław Bulzacki i ci, którzy — jak to sugeruje Janusz Atlas — za nim stali, nie stworzyli precedensu. A swoją drogą warto byłoby się uważniej przyjrzeć atmosferze, jaka panuje w piłkarskiej drużynie ŁKS. Ten postulat kierujemy pod adresem władz nie tylko sportowych.

Oprac. B. MADEJ

TELEWIZJA

20.20 program I XIII Krajowy Festiwal Piosenki Opole 75.
Program reżyseruje **Olga Lipińska** — twórca niezapomnianego „Gallux-show", znakomity fachowiec od telewizyjnej rozrywki. W roli gospodarzy wieczoru ujrzymy **Krystynę Sienkiewicz i Krzysztofa Materne.**

21.10 program II — Klub filmowy, a w nim film produkcji NRD pt. **„Królewskie dzieci".**

Reżyser — **Frank Bayer**, wykorzystując starą, niemiecką baśń ludową, stworzył opowieść filmową odnoszącą się do czasów współczesnych.

PIĄTEK, 27.VI.

godz. 20.20 program I XIII Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki — Opole 75.

Reżyseruje **Jerzy Gruza**, program prowadzi **Danuta Rinn** — ubiegłoroczna laureatka festiwalu. W pierwszej części koncertu znana piosenkarka wystąpi w roli konferansjera i opiekuna piosenkarzy debiutantów. Druga część stanowić będzie **recital Danuty Rinn.**

20.20 program II — „Strzały pod wierchami" — film produkcji czechosłowackiej. Interesująca opowieść o ewolucji psychicznej młodego żołnierza niemieckiego, który został ranny w Słowacji i którym opiekuje się mieszkanka jednej z wiosek

SOBOTA, 28.VI.

STUDIO II — program I

W tym przeszło ośmiogodzinnym programie przygotowanym przez zespół pod kierunkiem **MARIUSZA WALTERA** ujrzymy między innymi: relację z Mistrzostw w Kajakarstwie Górskim w Skopje, transmisję z wyścigów konnych na Służewcu o Puchar Studia II, reportaż **STEFANA TRUSZCZYŃSKIEGO** pt. „Kabina" (reportaż z dna morza!) Spotkamy się z dziennikarzami z NRD, którzy pragną przeszczepić wzory realizacyjne Studia II na grunt rodzimej telewizji,

NIEDZIELA, 29.VI.

18.00 program I „Progi i bariery".

O miano **TELEWIZYJNEGO CZŁOWIEKA MIESIĄCA** Czerwca walczyć będą między innymi: konstruktor samochodu SAM, hodowca kanarków, bibliofil, dyrektor Muzeum Lamp Naftowych w Krośnie.

PONIEDZIAŁEK, 30.VI.

godz. 20.20, program I.

W Teatrze Telewizji **W. Szekspira — „Król Henryk IV"** w tłumaczeniu **Leona Ulricha.** Autorem adaptacji i reżyserem spektaklu jest **Maciej Zenon Bordowicz.** W rolach głównych zobaczymy: Augusta Kowalczyka, Andrzeja Seweryna, Marię Maciejewską, Piotra Pawłowskiego, Andrzeja Szalawskiego, Romana Wilhelmiego.

WTOREK, 1.VII.

godz. 16.40 program I — „Obiektyw".

Począwszy od 1 lipca Telewizja Polska rozpoczyna emisję nowego programu cyklicznego pt. „Obiektyw". Program ten przygotowywany jest każdorazowo przez zespół dziennikarzy z innych województw i omawiać będzie problemy danego regionu.

godz. 18.55 program I „Atlantyda".

Program przygotowany przez zespół redakcyjny popularnej audycji **„Fakty, opinie, hipotezy".** Tematem tego programu są badania dotyczące istnienia tajemniczego lądu — Atlantydy. Rozważania nad tym pasjonującym problemem snuć będą naukowcy: **Ludwik Zeidler** — autor polskiej książki o Atlantydzie, **Krzysztof Szymborski** oraz **Marek Konopko.**

W HOUSTON I GWIEZDNYM MIASTECZKU

Zbliżający się wspólny lot kosmiczny **„Sojuz i Apollo"** budzi coraz żywsze zainteresowanie, a wiele stacji telewizyjnych zakupiło prawa transmitowania relacji przekazywanych z Kosmosu. Amerykańska stacja telewizyjna NBC zainstalowała już swoje studio telewizyjne w gmachu, w którym mieści się centrum kontroli lotów kosmicznych.

W Houston przygotowano też **„Rassian Room"** — salę dla **kosmicznych konferencji prasowych"**, czyli centrum prasowe, w którym zgromadzeni dziennikarze z całego świata będą mogli zapoznawać się z ocenami lotu kosmicznego dokonywanymi przez specjalistów z NASA, jak i Gwiezdnego Miasteczka, gdyż te ostatnie będą transmitowane bezpośrednio do Houston drogą satelitarną. Tutaj też dziennikarze będą mogli przysłuchiwać się transmisji rozmów obu centrów kierowniczych z kosmonautami.

Kosmonauci radzieccy i amerykańscy dokonują obecnie ostatnich treningów, wykonują zadania kontrolne, a także przechodzą serię badań lekarskich. Ćwiczenia prowadzi się również w ośrodkach kontroli lotów w Houston i pod Moskwą. W ćwiczeniach takich, które przeprowadzi się 30 czerwca i 1 lipca 1975 roku uczestniczyć będą między innymi kosmonauci.

W Związku Radzieckim i Stanach Zjednoczonych w różny sposób przeprowadza się loty kosmiczne. W Stanach Zjednoczonych już od momentu startu lotem kieruje centrum w Houston. W ZSRR centrum kierowania przejmuje statek dopiero wtedy, kiedy ten znajdzie się już na orbicie. W różny też sposób przygotowuje się pojazdy kosmiczne do lotów. Amerykanie dokonują przygotowań statku do lotu na miejscu startu. W ZSRR dokonuje się tego w specjalnym hangarze, a na miejsce startu pojazd dostarczany jest na kilka dni przed lotem.

W toku przygotowań do wspólnego lotu **„Sojuz — Apollo"**, zbudowano bezpośrednią łączność między Houston a Gwiezdnym Miasteczkiem. Jak wiadomo kosmonauci obu ekip sprawnie posługują się obydwoma językami: Amerykanie — rosyjskim, a Rosjanie — angielskim. W czasie lotu Amerykanie będą zwracali się do radzieckich kosmonautów po rosyjsku, a ci do amerykańskich kolegów po angielsku.

Celem tego lotu jest nie tylko połączenie obu statków w przestrzeni kosmicznej, ale też przeprowadzenie bogatego programu wspólnych badań naukowych. Start nastąpi 15 lipca 1975 roku o godzinie 15 minut 37 i 2 sekundy czasu moskiewskiego z kosmodromu Bajkonur. W 7,5 godzin wystartuje z kosmodromu na przylądku Cap Canaveral amerykański statek „Apollo". Mają się one spotkać w czasie 36 okrążenia Ziemi przez „Sojuz" i połączyć się na dwie doby. Moment łączenia się nastąpi nad granicą NRD i RFN, między miastami Alsfeld i Erfurt. Oba statki będą poruszały się z szybkością 8 km na sekundę.

Po wykonaniu wspólnych zadań i kilkakrotnym przejściu załogi „Apolla" do „Sojuza" i „Sojuza" do „Apolla", oba statki kosmiczne rozłączą się i będą wykonywały początkowo wspólny program a następnie każdy z nich program własny. Po rozłączeniu się, „Apollo" na jakiś czas zasłoni załodze „Sojuza" Słońce. Będzie to pierwsze sztuczne zaćmienie Słońca, a robi się je dla umożliwienia załodze Sojuza dokonania z Kosmosu zdjęć korony słonecznej.

W programie badań statku „Sojuz" jest też operacja nosząca kryptonim „Widmo". Jej celem jest poznanie składu atmosfery na wysokości około 200 km. Znajdujące się tutaj cząsteczki gazów wywierają pewien wpływ na lot sputników, stacji orbitalnych i statków. Badania takie prowadzą również na stacji orbitalnej **„Salut 4"** kosmonauci **Piotr Klimuk i Witalij Siewastianow.** Wyniki tych badań posłużą konstruktorom dla dalszego udoskonalenia pojazdów kosmicznych.

L.W.

Sprostowanie

W poprzednim numerze wskutek przeoczenia zostało mylnie wydrukowane nazwisko autora „Mikado" ZYGMUNTA GZELLI, za co przepraszamy Autora i Czytelników.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŹDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

W 70 rocznicę czerwcowego powstania w Łodzi, na dawnym Polesiu Konstantynowskim odbyła się uroczystość odsłonięcia Pomnika Czynu Rewolucyjnego. Miejsce, gdzie dziś stanął pomnik upamiętnione jest krwią bohaterów Rewolucji 1905 roku. Tutaj bowiem carscy żandarmi rozstrzeliwali polskich rewolucjonistów.

W tym miejscu, gdzie przed każdym 1 maja składano wiązanki kwiatów, dla upamiętnienia walki narodu polskiego o wyzwolenie, w tym miejscu obecnie stanął Pomnik Czynu Rewolucyjnego, projektu artysty rzeźbiarza Kazimierza Karpińskiego.

Na uroczystość odsłonięcia pomnika przybyli weterani ruchu robotniczego, przedstawiciele władz partyjnych z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, przewodniczącym CRZZ — WŁADYSŁAWEM KRUCZKIEM, przedstawiciele kierownictwa władz partyjnych i administracyjnych Łodzi z I sekretarzem KW PZPR — BOLESŁAWEM KOPERSKIM i prezydentem JERZYM LORENSEM. W uroczystości udział też wzięła córka wielkiego rewolucjonisty JULIANA MARCHLEWSKIEGO — ZOFIA.

Przemawiając do zebranych BOLESŁAW KOPERSKI powiedział między innymi:

„Rewolucyjne wydarzenia lat 1905—1907 zajmują w nowożytnej historii miejsce szczególne. Była to pierwsza rewolucja ludowa epoki imperializmu. Wstrząsnęła ona panowaniem obszarników i kapitalistów, a klasie robotniczej uświadomiła jej dziejową rolę i siłę. Masowe, wielotysięczne i długotrwałe strajki robotników Łodzi, Warszawy, Zagłębia Dąbrowskiego i innych ośrodków Przemysłowych ówczesnego Królestwa Polskiego pociągnęły za sobą wystąpienia młodzieży, chłopów, inteligencji. Siłą przewodnią tej rewolucji była klasa robotnicza."

Pod Pomnikiem Czynu Rewolucyjnego, na którym wyryto ważniejsze daty z historii polskiego ruchu robotniczego, delegaci wielu województw kraju złożyli wieńce i wiązanki kwiatów.

Na pomniku wyryto też słowa Władysława Broniewskiego:

„To oni wolą nieugiętą
uczyli nas jak żyć, jak bić się,
jak gardzić życiem, kochać życie
— ażeby syn i wnuk pamiętał".

Fotoreportaż

WŁODZIMIERZA PARYSA

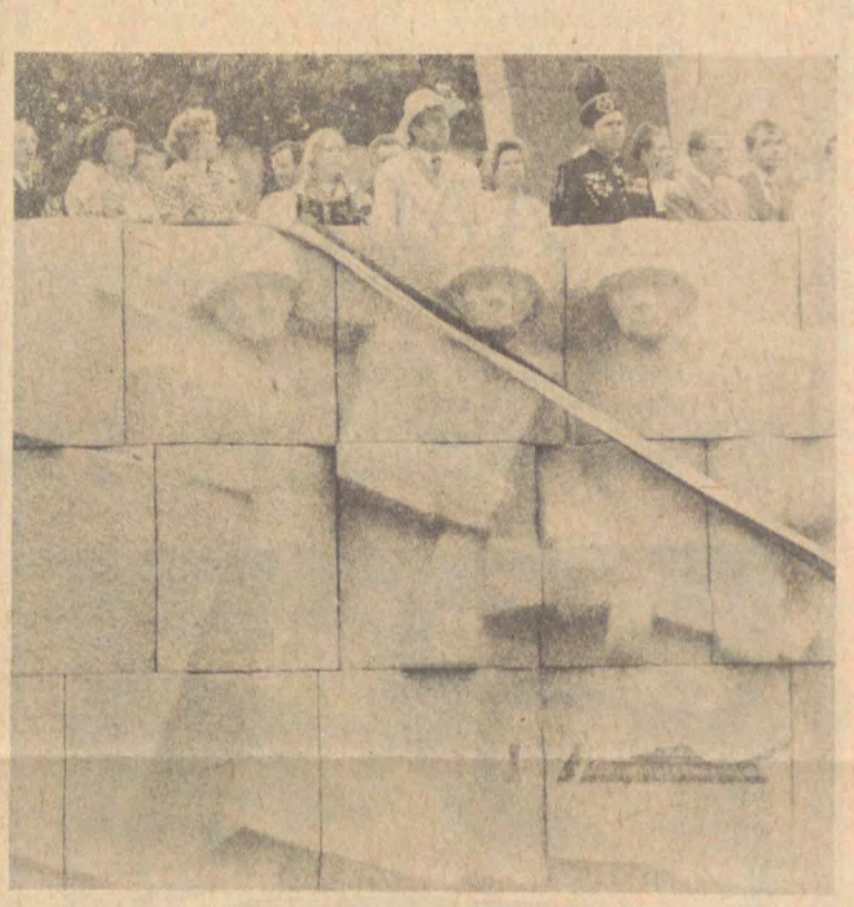

CZESŁAWA POLITAŃSKA

STÓŁ

Obmyją
ze śmierci
i narodzenia

Różańcem spięte
leżą na stole

Stole dla rąk
po chleb i
milczenie

Otwórz szufladę
duszę rozrzuconą zamknij

PAMIĘĆ

Modliły się w kopcu suche
kartofelki oczu do samolotu
głodu żeby nie wrócił

Ogień głowę toczył

Rys. A. Grun

TOMASZ SOLDENHOFF

Z cyklu: PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

★ ☆ ★

Co po kim dziedziczę
Po kim oczy bez blasku
Do częstego siusiania skłonność
Słabą do wódki
Po kim zdrowe oczy rozsądek
Po kim wiercę nad wszystkimi palcami
Po kim tę moją samotność

KONIEC POEZJI

Prace rozbiórkowe zostały przeprowadzone z pomocą kilku moich przyjaciół zasłaniających twarze pilśniowym kapeluszem Wystarczył tradycyjny kilof.
Przechodnie kasłali. Było nieco kurzu.

DOWODY WIERNOŚCI

dla M.B.

Rwiesz ząb Zajmuję miejsce w poczekalni
Mrużysz oczy w świetle Wyłączam instalację
Siadasz przy stole. Liczę łyżki. Zaglądam pod pokrywki
Marzysz Łóżko ścielę Gwiazda spada.

MICHAŁ GLINKA

TO ZDARZA SIĘ CORAZ RZADZIEJ

Niekiedy myślę o tobie, ale to zdarza się coraz rzadziej. A przecież znam cię od dawna. Tak dawno, że pamiętam, iż wszystko, co cię otaczało, było inne. Nie takie, jak teraz. A przecież znam cię od dawna. Wydaje mi się, że znałem cię zawsze, a ty, to dziwne, pewnie nawet nie pamiętasz o moim istnieniu.

Zbliżamy się do trzydziestki.

Choć po tobie tego nie widać.

Nie przeżyłaś jeszcze dnia, kiedy kobieta budzi się rano o piętnaście lat starsza niż wczoraj. Ale widziałem cię niedawno i wiem, że ten dzień zbliża się do ciebie. Dla ciebie jest on szczególnie groźny.

Jesteś rozdrażniona, a nigdy przedtem taka nie byłaś. Na ulicy patrzysz pod nogi. Dawniej nie robiłaś tego. Wyglądasz, jak byś zadawała sobie pytanie: „I co dalej?". Zdarza ci się to po raz pierwszy.

Obawiam się, że nie odpowiesz sobie na to pytanie. A trzeba na nie odpowiadać w samotności. Oni ci nie pomogą. Daj im Boże, żeby sami coś wymyślili. Coś takiego, co będą uważali za odpowiedź.

Pomógłbym ci, ale ty widocznie nie wiesz, że ja istnieję. I chodzisz po ulicach, które jeszcze niedawno nazywałem w myślach „naszymi", spuszczając oczy, chyba się już nie spotkamy, bo zbliżamy się już do trzydziestki, a ja i dawniej nie lubiłem zawierać znajomości na ulicach.

W kościele luterańskim na Newskim Prospekcie, obok byłej szkoły „Peter Schulle" zrobiono teraz basen kąpielowy. Zamurowano piwnice, pod stropami zawieszono reflektory, malują fasadę. Przychodzi tu na treningi reprezentacja wykładowców uniwersytetu. Dla zachowania pozorów w drużynie jest dwóch profesorów. Jeden przepłynął kanał La Manche w trzydziestym roku, drugi zimą i latem kąpie się w Newie, na Strzałce Wasilewskiej. Na granitowym nabrzeżu czeka na niego z frotowym płaszczem siwa, cicha kobieta, a po kamiennych schodkach biega duży, czarny seter.

Czasem przychodzi na basen szczupła, szarooka kobieta, w dziwnych, wysokich butach.

Za każdym razem po kąpieli kobieta idzie na ulicę Żelabowa, do samochodu, który już czeka od dawna naprzeciw Teatru Estrady. Z samochodu dysząc astmatycznie, pośpiesznie wysiada wysoki, zwalisty mężczyzna. Szarooka kobieta jest już blisko. Kiedy uwięzły w drzwiach mężczyzna podnosi ku niej twarz, można ujrzeć pstrą muszkę pod jego podbródkiem.

— Proszę panią, Ałło — mówi. Mówi szybko, jego ruchy są uprzedzająco grzeczne, chłód zaś szarookiej kobiety jest chłodem władczyni.

Spojrzenia potykają się i mężczyźnie nieruchomieją policzki, worki pod oczami pełzną w górę, podnoszą się brwi i staje się jasne, że kobieta nie przyszła na basen. Przywieziono ją. I drzwi auta można już zamknąć.

Kobieta stoi na trotuarze. Na siedzeniach samochodu leży szkocki pled. Przez tylną szybę uśmiecha się pluszowy tygrys. Na moment wszystko nieruchomieje.

Nic się nie dzieje.

Mężczyzna ujął w rękę klamkę, ale nie od razu otwiera drzwi.

— Proszę — mówi wreszcie.

Alla wsiada do samochodu. Piętnaście lat temu uczyła się w szkole żeńskiej po drugiej stronie kirchy..

Tej zimy rozchodziliśmy się do domów nie zaraz po skończonych lekcjach. Urządzaliśmy pod kirchą prawdziwe bitwy, od śnieżek tylko się zaczynało, potem szły w ruch szkolne torby i teczki, a pod koniec, po prostu tarzaliśmy się skłębieni w śniegu, nacierając się nim nawzajem i obrywając sobie guziki „z mięsem".

Tempo, w jakim odbywały się potyczki, uniemożliwiało przeciąganie ich w czasie. W ciągu pół godziny przeganialiśmy swoich przeciwników z pola walki, lub też na odwrót — sami się wycofywaliśmy, odganiając się grudami lodu na przystankach autobusowych.

Te prawie codzienne bitwy zaczynaliśmy mniej więcej w wieku lat jedenastu, na każdą zimę przypadało kilka tygodni szczególnie burzliwych, wyjątkowo krwawych starć. W młodszych klasach walczono bez szczególnych powodów. Tej zimy, o której opowiadam, wszyscy nagle nieoczekiwanie odkryli, że w sąsiednim budynku mieści się szkoła żeńska i nasze klasy z przyczyny tej właśnie żeńskiej szkoły urządzały ostatnie w historii, najbardziej, wydawałoby się, pozbawione powodów bitwy. A w rzeczywistości biliśmy się o Alleczkę Simonową. Alleczka była od nas starsza — kończyła klasę ósmą i miała w sobie coś z bogini polowania; nigdy nie stała jednocześnie na dwóch stopach, wydawać się mogło, że się nie zatrzymuje, a tylko zwalnia ruch czubkami palców ledwie dotykając ziemi. Ruchy jej były łagodne, ostrożne, jakieś bardzo własne, trochę jakby zwolnione w tempie.

Jej rówieśnice piszczały i chichotały. Alleczka śmiała się miękko jak młoda kobieta, patrzyła prosto w oczy, otwarcie i spokojnie, nie umykając wzrokiem na boki, a kiedy zaczynaliśmy z nią rozmawiać, przyjaźnie witała się z nami.

Ósmych klas było w szkole żeńskiej cztery, a kiedy uczennice po lekcjach wysypywały się na podwórze, przypominało to ptasi targ.

Alleczka wybiegała razem ze wszystkimi, ale dziwna rzecz, nigdy nie wpadała w największy ścisk, w tłok powstający w drzwiach, podczas gdy inne dziewczęta ze szkoły wybiegały potargane i wymięte. Na podwórku Allę opadały małe dzieci. Chętnych było zawsze tyle, że niektórym nie udawało się jej dotknąć. Dzieci prześladowały Allę aż do domu.

Dziewczęta i chłopców uczył ten sam chemik. Miał bladoszare, obwisłe jak żagiel bez wiatru policzki i przyzwyczajenie nauczania chemii nawet w czasie przerw. Pewnego razu wziął Allę pod rękę i zrównawszy z nią krok opowiadał o przyswajaniu azotu w obniżonych temperaturach. Nagle popatrzył na nią jakimś przestraszonym wzrokiem i powiedział:

— A zresztą po co ci chemia... I odszedł szurając zreumatyzowanymi stopami.

A my traciliśmy dla Alleczki rozum. Chyba nie umielibyśmy wtedy wyjaśnić, jak to się stało, ale milcząco zgodziliśmy się, że jest ona kimś wyjątkowym, jej miękki krok baleriny, śmiech, cień na policzkach — zniewoliły nas na długo.

A poza tym traktowaliśmy ją inaczej, dlatego, że nigdy nie przychodziła na spotkania z koleżankami. Nie wiem, jak było w innych szkołach, ale nasze sąsiadki zawsze przychodziły na randki parami. Czekasz na jedną, a przychodzą dwie. Przyjaciółka, najczęściej wyższa od ciebie o głowę, lub niższa o dwie. Tylko bardzo rzadko nie wstydzisz się iść obok niej. Ale zawsze przyjaciółka ma jedną cechę — nie umie głośno mówić, kiedy się witacie — podaje dłoń ułożoną w łódeczkę. I w ogóle...

Opowiadasz im coś — wesoło, dowcipnie (tak ci się z początku wydaje) i nagle zaczynasz coś mówić, nie wiadomo co i nie wiadomo, po co. Potem idziecie w milczeniu. Potem robi ci się nieswojo. Nie ma o czym rozmawiać. Wszyscy milczą. I nagle ta szara kaczuszka zaczyna chichotać. Potem szepczą sobie coś na ucho — twoja dziewczyna coś mówi: „Prawda Nino?" — szara kaczuszka potakuje, a tobie wydaje się już, że w jej głosie słyszysz nutki śmiechu: jutro rozpowie w całej szkole, jak wesoło spędziliście czas.

Alleczka zawsze przychodziła na spotkanie sama. Brała pod rękę i szła bardzo blisko, przy każdym kroku trącając cię tanecznym biodrem, uśmiechała się, zaglądała w oczy — wszystko to było zachwycające i wywołujące gorące pragnienie dowiedzenia się — co to jest kobieta? Kiedy byliśmy w siódmej klasie, ze wszystkich dziewczyn i kobiet na świecie istniała dla nas tylko Alleczka.

Tego dnia biliśmy się także o nią. Takie bitwy zaczynały się zawsze tak samo. Rónice polegały tylko na dekoracjach, które w myślach budowaliśmy dookoła. Ktoś z wrogów (szło za nim jeszcze trzech — czterech niemych świadków) podchodził na przerwie do któregoś z nas i mówił:

— To ty wczoraj włóczyłeś się z Allką pod Kazańskim Soborem? Z tonu wynikało, że Alleczka była tu najmniej ważna, pretensje są o to, że pod Kazańskim.

— Włóczyłem się? — wyniośle odpowiadał nasz. — Proszę się liczyć ze słowami, senior.

— Więc to ty, gadzie? — nie od razu kontynuował wróg.

— Do czego pijesz?

— Zaraz zobaczymy do czego...

— Straszysz naczelniku?

„Naczelnik" — było to słowo modne i szybko działające.

— Odpowiesz za „Naczelnika" — dyszał wróg i z krótkiego rozmachu walił naszego pod żebra. Dzwonek rozganiał wszystkich po klasach, ale po lekcjach piętnastu ludzi zajadle kotłowało się w śniegu. Uczyliśmy się na drugą zmianę i kiedy wychodziliśmy na ulicę, było już ciemno. Teraz, kiedy wspominam te wieczorne rozrywki, nie przypominam sobie, aby kiedyś rozgonili nas nauczyciele, choć pewnie tak bywało. Ale tego dnia nikt nam nie przeszkadzał i młóciliśmy się nawzajem przeszło godzinę. Tym razem pobito nas. Krzywymi zaułkami uciekliśmy z podwórka i przeliczywszy, czy wszyscy są, rozsypaliśmy się po ulicy. Wrogowie ścigali nas i tutaj. Trzeba było ukryć się. Ja uciekłem do apteki na rogu ulicy.

W aptece było prawie pusto. Na fotelu siedziała straszna starucha, kasjerka, smutna i zmęczona, martwo połyskiwały grube szkła jej okularów, za ladą cicho rozmawiały smutne dziewczyny ubrane na biało, z oddziału do oddziału chodził staruszek starając się odczytać niewyraźnie napisaną receptę.

I wtedy ujrzałem Alleczkę. Stała plecami do mnie pod wielką szybą okna wychodzącego na ulicę. Było już całkiem ciemno, za oknem warczały autobusy przejeżdżające po Newskim, każdy z nich Alleczka odprowadzała wzrokiem, jej palce nerwowo biegały po torebce, widać było, że się denerwuje. Odprowadziwszy oczami autobus znowu patrzyła na lewo, na róg ulicy pod apteką.

Alleczka denerwowała się. Jej nogi tańczyły. Spoglądając w szybę stała w miejscu, ale wydawało się, że przebiega od okna do okna, od wagonu do wagonu, biegnie wzdłuż pociągu, szuka i nie może znaleźć.

Potem drgnęła, zatrzymała się, opuściła głowę, popatrzyła w podłogę, pod nogi, nagle znów zerknęła w szybę, przywarła do niej twarzą, radośnie zamachała ręką i wybiegła z apteki.

Wydaje mi się, że powinna była mnie zobaczyć, ale nie widziała, a jeśli nawet zauważyła, to uczucie, pod którego wpływem się znajdowała, było tak silne, że Alleczka — nasza Alleczka, nasza Alleczka, o wierność której biliśmy się pod kirchą, nie zatrzymała się, nie skinęła mi głową, ale wyskoczyła na ulicę tak gwałtownie, że tylko łoskot zatrzaśniętych drzwi rozległ się pod sufitem apteki.

Wyszedłem za nią.

Pod latarniami szli ludzie, po jezdni, rozchlapując tający śnieg, jeździły autobusy. Alleczki nie było.

Poszukałem jej wzrokiem i pobiegłem ulicą Żelabowa do domu. I tutaj piętnaście kroków od przystanku autobusowego, zobaczyłem jak do taksówki, która zatrzymała się przy trotuarze, wsiada para. Był krępy i niewysoki, ale chyba bardzo silny, krótka letnia kurtka powodowała, że wydawał się jeszcze bardziej kwadratowy. Wrócił pewnie prosto z rejsu — jeszcze w wielkich butach i ogromnych rękawicach. Alleczka odebrała je od niego i zanurzyła twarz w białe futro kołnierza, potem roześmiała się i połaskotała futrem jego policzki. I we wszystkich tych ruchach — w delikatnym i szybkim przytuleniu policzków i ust do gęstego białego futra, w tym, że ze swoją radością musiała się z kimś podzielić, była cała Alleczka z tych czasów: jej wiara w ludzi, w to, że oddadzą jej wszystko miłe i drogie...

Lotnik uśmiechnął się i otworzył drzwi taksówki. Alleczka ciągle śmiejąc się pociągnęła go za rękę, a kiedy usiadła w samochodzie, przez tylną szybę widać było jej oświetlony profil.

A on stał obok taksówki, mocny, doświadczony, bywały i zwlekał.

O czym myślał wtedy?

Może przypomniał sobie twarze — twarze kobiet — bezimienne, zapomniane, nierzeczywiste..

Albo może nie twarze, bo twarze zapomina się najszybciej, a coś, co za każdym razem było inne. Nie zawsze oczywiście, nie zawsze, ale często... I wtedy właśnie zapamiętywał jakieś miasto...

A może nie myślał o niczym?

Wyjął papierośnicę, wyciągnął z niej papierosa, zapalił, wchłaniał gęsty pachnący dym, ogieniek ciepłym domowym blaskiem oświetlał jego twarz. W końcu lotnik schylił głowę — być może tak samo robił wsiadając do samolotu — wsiadł do taksówki, w jej wnętrzu zniknęła twarz Alleczki i samochód odjechał rozbryzgując mokry śnieg.

A ja wróciłem i poszedłem z powrotem na Newski.

Pod światłem latarni tak samo przechodzili ludzie, tak samo skrzypiały drzwi apteki, tak samo chłodno świeciła reklama domu handlowego, tak samo urocza była kircha.

Śnieg przed nią był zryty, walały się w nim porwane i podeptane zeszyty, a światło latarni, stylizowanej na średniowieczną, oświetlało puste stopnie i leżący na nich klucz.

Przełożył:
MAREK WAWRZKIEWICZ

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot. H. Śmigacz

MARIAN PIECHAL

pozornie okazjonalny utwór jak „Garść popiołu" (1932) zawiera w zamyśle konstrukcyjnym oraz w wymowie ideowej, norwidowski problem stosunku ludu do kultury oraz niezawiniony tragizm twórcy i jego dzieła. Już w owym umownym pierwszym etapie obserwujemy w poezji Piechala obecność jego własnej koncepcji historiograficznej, zaangażowanej społecznie, lecz dającej pierwszeństwo wartościom kultury; analizującej fakty kulturowe w otoczce problemów socjologiczno-politycznych. Uderza także własny stosunek poety do cywilizacji współczesnej: krytyczny dystans do jej ponęt, świado-

Urodził się 24 sierpnia 1905 r. w Łodzi w rodzinie robotniczej. W latach 1912—14 przebywał w Czycie na Syberii. Po powrocie do Polski ukończył szkołę średnią w Łodzi, a następnie polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Jako poeta zadebiutował w prasie literackiej już w 1924 r. W latach 1928—30 należał do łódzkiej grupy literackiej „Meteor", zaś od 1930 r. do „Kwadrygi". Po ukończeniu studiów w 1931 roku brał udział w redagowaniu pisma literackiego „Prądy". W r. 1929 wydał swój pierwszy tomik poetycki pt. „Krzyk z miasta". W latach 1935 i 1937 przebywał dłuższy czas w Paryżu. W 1939 r. był redaktorem pisma „Odnowa". Brał udział w kampanii wrześniowej, w trakcie której dostał się do niewoli i przebywał w obozie jenieckim Altengrabow. Uwolniony w grudniu 1939 r. mieszkał kolejno w Łodzi, Warszawie i Krakowie, zaś przez trzy następne lata (od stycznia 1942 r. do stycznia 1945 r.) przebywał na wsi w powiecie miechowskim. Brał udział w tajnym nauczaniu oraz w pracy konspiracyjnej jako członek BCh i AK. Po wyzwoleniu powrócił do Łodzi. W latach 1945—47 był redaktorem literackim w łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia. Od 1951 do 1956 r. brał czynny udział w pracach zarządu łódzkiego oddziału ZLP. W latach 1956-57 był członkiem zespołu redakcyjnego „Kroniki", w latach sześćdziesiątych redagował almanach „Osnowa". W 1968 r. M. Piechal przeniósł się do Warszawy, gdzie objął funkcję zastępcy redaktora naczelnego miesięcznika „Poezja", pełnił ją do roku 1972. Obecnie jest członkiem redakcji „Miesięcznika Literackiego". Laureat nagrody m. Łodzi za całokształt twórczości, którą otrzymał w 1955 r. Piechal jest poetą, eseistą, teoretykiem poezji, satyrykiem, autorem książek dla dzieci oraz wydawcą zbiorów poezji obcej.

Przed wojną wydał następujące tomy poetyckie: „Krzyk z miasta" (Warszawa 1929), „Elegie całopalne" (Warszawa 1931), „Garść popiołu" (Warszawa 1932), „Srebrna waga" (Warszawa 1936). Ponadto ogłosił książkę krytyczno-literacką „O Norwidzie" (Warszawa 1937) oraz kilka broszur z publicystyki politycznej. Po wojnie ukazały się następujące tomy jego wierszy: „Wybór poezji" (Czytelnik 1952, 1955), „Nowa wiosna" (Czytelnik 1954), „Ognie" (WŁ 1957), „Mowa milczenia" (Czytelnik 1958), „Wiersze" (WŁ 1958), „Miasto nadziei" (WŁ 1964), „Miara ostateczna" (WŁ 1965), „Punkt oparcia" (Czytelnik 1965), „Być" (Czytelnik 1969), „Poezje" wybrane" (LSW 1970), „Poezje" (PIW 1973). W zakresie eseistyki literackiej Piechal opublikował: „Pelagię, uczennicę diabła czyli sedno rzeczy" (WŁ 1969), „Żywe źródła. Szkice literackie". (Warszawa 1972), „Mit Pigmaliona. Rzecz o Norwidzie". (PIW 1974) oraz tom „Poezja i coś więcej" (WŁ 1975), nagrodzony na X Festiwalu Poezji. W zakresie satyry opublikował pozycje: „Diabel za skórą" (Czytelnik 1959), „Małpy w kąpieli" (WŁ 1961) oraz „Sokrates, indyk i żołądek" (WŁ 1971). Wydał on też „Raj na ziemi i inne wierszyki dla dzieci" (Prasa Demokratyczna 1974). Jest także autorem „Antologii poezji słoweńskiej" (Kraków 1973), wydawcą „Poezji wybranych" Ch. Baudelaire'a oraz tłumaczem L. Tołstoja, V. Katajewa, P. France'a, N. Spanova, Baudelaire'a i wielu innych.

W liryce M. Piechala można wyróżnić dwa główne etapy: od debiutu książkowego do „Miary ostatecznej" (1965) i drugi od „Punktu oparcia" (1965) do dziś. Poezja pierwszego etapu kształtowała się pod ciśnieniem tradycji literackiej (Mickiewicz, Żeromski, Norwid), historii najnowszej i przemian społeczno-politycznych zachodzących w tym okresie spotykamy w niej motywy tradycyjnie poetyckie, jak np. miłość (opisywana notabene bardzo subtelnie), autobiografia, Łódź — miasto rodzinne, problem ojczyzny, literatury, patriotyzmu, autotematyzm etc. Gdy idzie o motyw ostatni Piechal zgłębił go szeregiem świetnych liryków, dociekając istoty poezji, określając jej społeczny adres, oddziaływanie, znaczenie czytelnika dla pisarza itd. Warto dodać, iż według lirycznych definicji Piechala poezja to tytułowa „miara ostateczna" wszechrzeczy, wydobywanie rzeczywistości z chaosu oraz rdzeń egzystencji narodowej. To wysokie miejsce wyznaczone poezji wywodzi się zapewne z wpływu poezji romantycznej, a Norwida w szczególności.

Od twórcy „Promethidiona" zapewne przejął Piechal skłonności do uprawiania poezji narodowej i jednocześnie nadnarodowej poezji kultury: przejął norwidowską niezależność sądu wobec aktualnych mitów i fetyszów społecznych, walor mocy moralnej, dążność do zintelektualizowania języka poetyckiego i zamiłowanie do nasycania poezją problemów ogólnych. Nawet tak

mość tkwiących w niej niebezpieczeństw, słowem precyzyjne i dalekowzroczne wyważenie jej funkcji. Wiersze Piechala posiadają własny klimat emocjonalny, cechuje je skłonność do lirycznej emfazy, ironii i retoryki, do używania romantycznych środków wyrazu. Każdy jego dojrzały utwór poetycki to, sit venia verbo, refleksja w gorącym wnętrzu, myśl utajona w lirycznym obrazie.

Tom „Miara ostateczna" (1965) stanowił podsumowanie jego dotychczasowej twórczości i otwarcie nowego jej etapu. Tomy „Punkt oparcia" (1965) oraz „Być" (1969) przyniosły nową u Piechala, poetycką wizję świata. Jest ona poniekąd zbieżna z koncepcją Teilharda de Chardin. Wychodzi z założenia, że wbrew dotychczasowym mniemaniom, człowiek nie jest bynajmniej wyjątkowym tworem natury, królem stworzenia etc. Zakłada, że gatunkowi ludzkiemu udało się jedynie wcześniej zapoczątkować swą ewolucję, której podlega wszakże, i ku której zmierza cały świat przyrody ożywionej.

Piechala interesuje przede wszystkim człowiek jako źródło wiedzy oraz jego refleksja; przepowiada mu ewolucję, która ma doprowadzić go do istnienia w formie samej myśli, w formie doskonalej i nieśmiertelnej. Aby owa ewolucja mogła się dokonać trzeba jednak, by żyjące obecnie pokolenia w pełni akceptowały swoje istnienie — jest to warunek odległej doskonałości. Piechala koncepcja świata kieruje się także w czasie teraźniejszym. Widać to szczególnie w programowym niemal wierszu „Moje imperium" (tom „Punkt oparcia"), którego podmiot liryczny, imperium myśli, wyobraźni oraz intuicji, kruchy ciałem, lecz „potężny ekspansją myśli" proponuje pakt nieagresji wszystkim innym takim mocarstwom na zasadzie dobrej woli, poszanowania zdrowego rozsądku i absolutnej nieingerencji w owo imperium ducha. Trudno o wiersz bardziej współczesny i humanistyczny. Nie jest to przecież humanizm łatwy i deklaratywny — wiersze takie jak „Pragmatyka" lub „Sprzeciw" (tom „Punkt oparcia") świadczą, że poeta zdaje sobie sprawę z ponurej dialektyki historii. Właściwie w nowszej twórczości poetyckiej Piechala znalazły odbicie wszystkie podstawowe problemy ludzkiego losu w dobie dzisiejszej.

Ewoluuje w widoczny sposób poetyka Piechala: od utworów o dużym napięciu emocjonalnym, utrzymanych w kategoriach romantycznej wzniosłości i bezpośredniości, od wierszy głęboko osobistych (bez względu na różnorodność motywów) do fundamentalnych problemów kultury, wyrażanych językiem zintelektualizowanym i lapidarnym, zamkniętym w różnych, zawsze logicznie skomponowanych układach. Charakterystyczne jest tutaj przesunięcie punktu ciężkości z własnej osoby na szeroko pojęte sprawy humanizmu i kultury. Nawet sprawy osobiste stanowią w tej liryce jedynie egzemplifikację prawd i problemów ogólnych. Nie jest to, mimo programowej jasności, poezja łatwa, podobnie jak niełatwy jest trud poetycki, dzięki któremu „Chaos zyskuje proporcje Ładu" (Do Wergiliusza — „Punkt oparcia") i jak niełatwe jest ustalanie kształtu współczesności.

Wiersze z ostatnich tomów zawierają moc terminów zaczerpniętych z nauk przyrodniczych, medycznych, filozoficznych, z filozofii, muzykologii, polityki etc. Piechal konstruuje zdania zwięzłe, uderzające lapidarnością, oschłością tonu, prozaizmami, intelektualizmem i gnomiczną dosadnością. Nie brak tu również skojarzeń literackich, historyczno-kulturalnych, cytatów, aluzji mitologiczno-biblijnych, zwrotów mowy potocznej, przysłów, wyrazów obcojęzycznych etc. Z powodu swego intelektualnego profilu poezja ta stawia czytelnikowi wysokie wymagania. Nie jest to jednak poezja uczona — poprzez tkankę refleksji czuć w niej pulsowanie serca i napięcie emocji. Jest to zgodne z poetyką normatywną Piechala, która m. in. głosi, że wiersze należy pisać „w proporcji wyobraźni i na miarę przeżycia" (Krytyka pisania wierszy — „Poezje zebrane") oraz że dopiero akt tworzenia pozwala na odczucie pełni bytu.

W omówieniu tym skoncentrowano się z konieczności na poezji jako najważniejszej dziedzinie aktywności twórczej Piechala. Pozostaje zatem przynajmniej zasygnalizować: wybitną eseistykę literacką, celną satyrę, rozległą twórczość przekładową i ważne prace redakcyjne. Trzeba oddać należny szacunek niestrudzonej pracowitości i aktywności tego pisarza, który umiejętnie łączy tradycję narodową z potrzebami duchowymi epoki współczesnej, nie zatracając jednak samodzielności i oryginalności.

JÓZEF DUK

HISTORIA OBYCZAJÓW (II)

Dalszy ciąg ze str. 1

PRZYGODY MIŁOSNE BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

rygorów obyczajowych, nie mogła szczycić się swymi erotycznymi sukcesami, nie mogła jawnie prowadzić jakichkolwiek romansów. Tego rodzaju postępowanie, w myśl polskiego kodeksu moralnego, było niedopuszczalne nie tylko u żony króla, lecz u jakiejkolwiek polskiej szlachcianki. Rola, jaka jej przypadła, wymagała, by była kobietą „bez przeszłości", skromną, omal nietkniętą.

Zwyczaje panujące na Litwie były bowiem dla mentalności naszych moralistów czymś nie tylko nie do przyjęcia, lecz niemożliwym do zrozumienia. Uważali oni, że słuszna i jedyna jest moralność obowiązująca u nas. Ponieważ Barbara przysłowiowego „świadectwa moralności" nie była w stanie przedstawić, stąd też falowe ataki na jej rozwiązłość, niemoralność. Z drugiej strony ulegające wzorom polskim otoczenie Barbary, łącznie z Radziwiłłami a nawet samym królem, starało się zatuszować przeszłość, kreować ją na kobietę nieposzlakowanych, w pojęciu polskim, skromnych obyczajów. Bracia Barbary przez szpary patrzyli na jej amory w czasach pierwszego małżeństwa czy wdowieństwa, później jednak gorliwie krzątali się, by wmówić opinii, iż ich siostra uznawała tylko małżeńskie związki. Stąd też starano się, by nie przetrwały liczniejsze dowody jej poprzedniej swobody.

Z powyższych przyczyn intymne przeżycia Radziwiłłówny z czasów przed poznaniem Zygmunta Augusta nie są dokładnie znane, więcej tam poszlak niżli konkretnych dowodów i faktów. Stąd też pole do rozmaitych hipotez i sądów, wypowiadanych w naszej historiografii. Część autorów uważa, że wersje o jej swobodnym prowadzeniu się

odpowiadają prawdzie, część, szczególnie dawniejszych, uważa te opinie za oszczerstwa. Dość długo i uważnie rozpatrywałem wszelkie momenty rzucające światło na życie intymne Radziwiłłówny i podzielam zdanie, że informacje o jej swobodzie erotycznej odpowiadają w zasadzie prawdzie. Zarówno fakty, jak ciągle powtarzające się poszlaki wskazują, że prowadziła bujne życie miłosne. Z miejsca chcę jednak zaakcentować, iż nie uważam, by stanowiło to jakieś wykroczenie, nie mysię jej potępiać czy przysłowiowo kamienować za niemoralność, jak czyniło to wielu naszych historyków.

Barbara Radziwiłłówna wychowała się w atmosferze liberalnej. Jest pewne, że w dzieciństwie nie wpajano jej odrazy do życia płciowego, nie narzucano poglądu, że płeć jest czymś złym, grzesznym. W związku z tym z domu rodzinnego nie wyniosła zahamowań, nie popadła w nerwice czy kompleksy powstające na podłożu seksualnym. Środowisko, w którym wzrosła, tolerowało względną wolność seksualną, przyzwalając na przejawianie, a w dużej mierze nawet na zaspokajanie popędu. Przypomnę, że godzono się tam m. in. z przedmałżeńskim życiem płciowym panien. Przypomnę także, że biografia matki i starszej siostry, jak również dalszych krewniaczek, na przykład stryjenki księżny Anny Mazowieckiej, wskazują, iż hołdowały one pewnej swobodzie, a nawet, stosowane kryteria obowiązujące w Polsce, rozwiązłości. Te wzorce musiały na nią oddziaływać. Jestem tedy przekonany, że stosowany wobec niej w dzieciństwie i wczesnej młodości trening społeczny nie spowodował lęku przed życiem płciowym, nie zohydził tej sfery przeżyć, odwrotnie, zwrócił uwagę na satysfakcje, jakie można w tymże życiu osiągnąć. Trzeba także uwzględniać, że z natury była kobietą namiętną, wykazującą potrzebę współżycia z mężczyznami.

Pośród historyków istnieją kontrowersje w kwestii jej erotycznego temperamentu. Część źródeł XVI-wiecznych mówi wyraźnie, że charakteryzowała się „lubieżnością", „żądzą", co wskazywałoby, choć niebezwarunkowo, właśnie na temperament. Pewni autorzy piszą też o jej „bujnym temperamencie", traktując tę cechę nieomal jak jakiś defekt! Bardziej wobec niej przychylni próbowali znów kwestionować występującą u niej namiętność, stąd też głosy, że była wręcz pozbawiona temperamentu, że jej rozwiązłość musiała mieć inną przyczynę. Jest to sprawa dość skomplikowana, trudna do bezwzględnego ustalenia. Wiadomo, iż istnieją kobiety mające liczne stosunki z wieloma mężczyznami, a nie zaznające przy tym pełnej rozkoszy. Medycyna i psychologia stwierdzają, że u znacznego procentu kobiet nie występuje orgazm, co nie oznacza, by nie prowadziły, a nawet lubiły, stosunków cielesnych. Nie jest więc całkiem wykluczone, że tak było z Barbarą. Sądzę jednak, że brak liczniejszych wzmianek o jej temperamencie wynikał stąd, że w polskim kręgu kulturowym, pośród mężczyzn, przeważał pogląd, że kobieta nie musi wykazywać tzw. temperamentu, nie zwracali też uwagi na jej reakcje seksualne. Uważano te sprawy za nieistotne, za zasadniczy uważano tylko sam udział w akcie. Stąd też nie dociekali, w jakim stopniu sprawiają satysfakcję swym partnerkom. Nic więc dziwnego, że autorzy nie rozpisywali się nad doznaniami Barbary uważając je za sprawy nieistotne, wystarczało, że pisali o jej stosunkach. Uważam, że Barbara, wychowana w innym kręgu kulturowym, nie musiała kryć swych doznań,

z podtekstów i z różnych wzmianek można sądzić, że właśnie w pełni przeżywała rozkosz. Istnieją też opinie, że właśnie temperament erotyczny skłonił, czy też tak przywiązał do niej króla. Znający dobrze ten okres dziejowy literat Ludwik Hieronim Morstin pisał: „Że piękna wdowa po Gasztoldzie miała wielki temperament jestem o tym przekonany. (...) Musiała mieć Barbara wielki temperament, skoro tak pokochał ją Augustus, skoro tak przywiązał się do niej, że wolał stracić koronę, niż jej miłość".

Sąd ten o tyle uzasadniony, że, jak piszę o tym szerzej w następnym rozdziale, władca przez całe życie gustował w kobietach znanych właśnie ze spontanicznego okazywania swych uczuć i temperamentu. Wręcz odrazę wzbudzały zaś w nim kobiety infantylne, chłodne.

Jeśli chodzi o sporą ilość jej miłosnych związków, to na fakt ten wskazują źródła, rozmaite informacje i opinie. Znamienne, że doniesienia te potwierdzają się, uzupełniają, nie ma zaś pewnych wiadomości, by uznać je za całkowicie nieprawdziwe. Trzeba brać pod uwagę moment, że w jakimś stopniu zjawisko ubarwiały, przejaskrawiały, nie można jednak odrzucać wymowy faktów. Stąd też wersje te w zasadzie za prawdziwe uznał najwybitniejszy znawca stosunków panujących na dworze polskim w połowie XVI wieku — Władysław Pociecha, który między innymi w odniesieniu do Barbary przeprowadzał żmudną kwerendę archiwalną. A oto jak w zarysie przedstawiały się, w świetle dotychczasowej znajomości faktów, jej kontakty i przeżycia miłosne.

Niewinność musiała utracić wcześnie. Pierwsze informacje na temat jej „swobodnego prowadzenia się" pochodzą z grudnia 1537 roku, czyli z okresu gdy miała 17 lat *) i kiedy nikt nie przypuszczał, że zostanie kiedyś królową. W tym czasie swatano ją księciu Ilii Ostrogskiemu, który jej jednak nie chciał, wołąc słynną Beatę Kościelecką. Agent księcia pruskiego Albrechta Nipszyc charakteryzował wówczas bardzo ujemnie swobodne obyczaje Radziwiłłówien (Anny i Barbary), m. in. pisał o małżeństwie Ostrogskiego, że „ciągle Ilia wpada z jednego błota w drugie".

Nie znamy dokładnie przebiegu jej młodocianych amorów, wydaje się jednak, że kochała się chętnie i często. Według krążących wersji nie zmieniła sposobu życia będąc mężatką. „Głoszono, iż będąc za Gasztołdem żyła rozwiąźle romansując z licznymi kochankami. Trzeba mocno podkreślić, że z mężem nie wiązało ją uczucie. Jej małżeństwo stanowiło rezultat nie miłości, lecz rodowo-politycznych układów, stąd też trudno chyba wymagać, by zachowywała wierność mężczyźnie, którego jej narzucono, który był jej obojętny, a może nawet wywoływał odrazę. Ileż to razy tłumaczy się romansujących mężów właśnie rozmaitego rodzaju złym doborem żon! Tylko w poezji XIX-wiecznej słyszało się głosy, iż związek z rzekomo wiele starszym wojewodą był białym małżeństwem, że wyszła zeń niewinna. Są to oczywiście bajki, źródła na ten temat nic nie mówią. Odwrotnie, wiadomo, że Gasztołd w chwili zaślubin był mężczyzną młodym, liczył około 29 lat. Zmarł nagle po krótkiej chorobie. Wszystko wskazuje, iż Barbara współżyła z nim cieleśnie i podczas tego związku pogłębiła swe alkowiane doświadczenia. Swoją drogą pan wojewoda nie okazał się mężczyzną nienasyconym, bowiem małżonka, jak się już rzekło, miała czas i chęci na amory z amantami. Orzechowski pisał:

„Gdy dorosła i została oddana poprzedniemu małżonkowi, tak się prowadziła, że dorównywała bezwstydowi matki, a nawet go przewyższała i znana była z licznych grzechów lubieżności i bezwstydu".

O jej romansach w czasie małżeństwa z Gasztołdem powiadał też m. in. znany senator Andrzej Górka. Fakty te, tylko w oględniejszych słowach, potwierdzą znawca biografii Barbary i Stanisława Gasztołda, wspomniany już Władysław Pociecha. Uczony ten pisał:

„Pożycie Gasztołda z żoną nie musiało być szczęśliwe, ponieważ piękna pani wojewodzina rychło znalazła sobie przyjaciół, którzy zastąpili jej męża".

Po przedwczesnej śmierci wojewody ponoć jeszcze bardziej uprawiała miłostki, z którymi się wcale nie kryła.

Jeśli na Litwie nie stanowiło to znów jakiegoś ewenementu, aczkolwiek nie można twierdzić, by tak postępowały wszystkie możne niewiasty, to budziło jednak zgorszenie i dezaprobatę kręgów polskich. O jej postępowaniu nie miało dobrego mniemania wielu dworzan polskich otaczających Zygmunta Augusta, którzy przenosili swe opinie do kraju. Najgorsze wyobrażenie o jej konduicie miał zwolennik surowej, tradycyjnej moralności, przy tym człowiek zrzędny i zgryźliwy, kanonik Stanisław Górski. Należy dodać, że był on jednak cenionym historykiem, gromadził korespondencję, liczne materiały archiwalne, opinie swe wypowiadał też do ludzi zorientowanych w postępowaniu pani wojewodziny, stąd też trzeba uznać, że nie były to zarzuty wyimaginowane. Górski jednak wyjątkowo nie lubił Barbary, ilekroć o niej pisał, obrzucał ją ordynarnymi, złośliwymi epitetami. W swej korespondencji nazywał ją stale „wielką nierządnicą", „wyborną kurwą" itp. W podobnym duchu mówili i pisali o niej także inni, wszystko razem dawało asumpt, że po poślubieniu króla, gdy wybuchł spór o małżeństwo, wyolbrzymiano jej przygody czyniąc z niej polską Messalinę. Należy wszakże zaakcentować, że wieści na temat jej rozwiązłości krążyły już wcześniej.

W 1548 roku zebrał je i przedstawił nie szczędząc złośliwości i ubarwiając wypowiedź pikantnymi szczegółami, słynny pisarz i publicysta Stanisław Orzechowski. Zostały one zamieszczone w znanych mowach przeciw „niesławnemu małżeństwu". Prezentuje tam Barbarę jako kobietę o „nienasyconej żądzy", podkreśla, że po śmierci męża jeszcze „śmielej oddawała się uprawianiu wszelkiego rodzaju sromoty i rozpusty". W innym miejscu pisał:

„Wałęsają się tu i ówdzie liczni ludzie, którzy się tarzali lubieżnie z tą Tarda. Senator szlachcic, bogaty, biedny, znany, nie znany, nawet braciszek klasztorny, niesaczanin, wieśniak, masztalerz, każdy, kogo uważano za wprawnego w uprawianiu łajdactw, u niej uprawiał rozpustę nawet wbrew swej woli".

Przeciwnicy jej małżeństwa z królem bulwersowali opinię liczbą jej kochanków. Andrzej Górka stwierdził na przykład, że miała ich trzydziestu ośmiu i z nazwiska wymieniał tych panów!

Nie można oczywiście dosłownie wierzyć wszystkim wersjom. „Nierządnicą" czy jeszcze wulgarniej zwali nasi moraliści każdą kobietę, która miała jakiś stosunek pozamałżeński. Koloryzował i przysłowiowo podbijał szlachcie bębenka Orzechowski pisząc, że romansowała nawet z koniuchami i świniopasami! Znając środowisko, postawę Barbary, tego rodzaju ekstrawagancje wydają się nieprawdopodobne. Orzechowski przedstawiał sprawę wedle powiedzenia: „miał ją, kto tylko chciał", czym oczywiście szokował bezkrytycznych i lubiących sensację czytelników. Rejestr kochanków także był bez wątpienia przesadzony.

Nie sądzę jednak, by wszystkie wymienione informacje uważać należało za wyssane z palca. Wiele wskazuje, że niejeden mężczyzna, i to niekoniecznie wysokiego rodu, został uszczęśliwiony przez kochliwą wojewodzinę. Znamienne, iż później, ani Barbara, ani król nie dementowali tych pogłosek, wypowiadanych nawet przez dygnitarzy państwowych, nie inscenizowali jakichś procesów mających na celu dowiedzenie oszczerstw, a tym samym oczyszczających królową. Milczenie ich można tłumaczyć wzgardą, z jaką traktowali te ataki, innym klimatem kulturowym, który nie dopuszczał, by sprawy alkowy królowej roztrząsać na forum publicznym. Bardziej prawdopodobne wydaje się wszakże przypuszczenie, że ich milczenie oznaczało po prostu potwierdzenie zarzutów, że obawiali się, iż proces może potwierdzić oskarżenie. Należy także pamiętać, że wychowana w innych poglądach i stosunkach Barbara nie uważała zapewne, by z tych spraw musiała się tłumaczyć, traktowała je jako przeżycia dość naturalne.

Dociekliwe zapiski z XVI wieku mówią o niej jako o kobiecie swobodnej, znającej pieszczoty i przymilenia miłosne, wtajemniczonej w rozmaite arkana alkowiane, wprawnej „we wszelkiego rodzaju rozpuście". Te sypialniane kwalifikacje podkreślał m. in. później sekretarz nuncjusza A. M. Gratiani pisząc, że wiele osiągnęła „sztuką i pieszczoty swymi". W tym aspekcie należy spojrzeć na złośliwy komentarz Orzechowskiego, że jeśli król „chce szukać u małżonki swojej sił i męstwa w służbie Wenery, nie mógłby mieć lepszej, nawet gdyby wysłał dziewosiębów do zawsze rozpustnej Azji".

Można tedy przyjąć, iż Barbara była nie tylko piękną, lecz także namiętną, dobrze zorientowaną w życiu alkowianym kobietą. Nie była jednak nimfomanką, to jest kobietą o przesadnym, chorobliwym pociągu płciowym. Jej popęd wydaje się mocny, lecz nie patologiczny; w latach późniejszych całe miesiące żyła w abstynencji seksualnej. Nie sądzę też, by można było uważać ją za pozbawioną wyższych uczuć rozpustnicę. Nie słychać, by trwale przywiązywała się do jakiego kochanka, co wskazywałoby na przede wszystkim zmysłowy i krótkotrwały charakter tych związków. Być może jednak po prostu zatarto ślady jej poprzedniej, czy poprzednich miłości. Po prostu nie wypadało, by przed Zygmuntem Augustem kochała innego mężczyznę! Jej późniejsze dzieje wskazują bezspornie, że była kobietą bardzo uczuciową, nie tylko kochaną, lecz także kochającą, oddającą się bez reszty wielkiej miłości. We wczesnej młodości kochała się, mówiąc żartobliwie, „po litewsku", później zdolna była do miłości „po polsku", przez którą rozumiano wtedy bezgraniczne i wierne oddanie się jednemu, wybranemu mężczyźnie. Barbara Radziwiłłówna żywo i mocno odczuwała potrzebę miłości, która spełałaby się treścią jej życia.

Jakim był człowiek, którego los stawiał na drodze życia naszej bohaterki? Był nim zaś sam Wielki Książe Litwy i Król Polski Zygmunt August.

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

* Data urodzenia Barbary Radziwiłłówny jest kwestią sporną. Autor we wcześniejszych partiach książki dowodzi, że nastąpiło to w roku 1520 (przyp. red.).

W MIĘDZYZDROJACH:

Dalszy ciąg ze str. 1

Przypominamy państwu regulamin plaży strzeżonej: nie umiejący pływać nie mogą oddalać się poza linię czerwonych boi. Zabrania się wypływania poza żółte boje. Wypływanie na materacach i pontonach poza białe boje surowo wzbronione. Zabrania się wprowadzania psów na plażę, zabronione jest także...".

— Panie, do cholery, ścisz pan ten tranzystor, nie jesteś pan sam na plaży...

A co, nie wolno? Idź pan na dziką, jakżeś pan taki wrażliwy...".

— Cytrynada, cytrynada, kupuj bracie i nie gadaj!

— Pięć złotych. Dwie? Proszę bardzo...

— No, dzisiaj pójdzie. Jak to obrócę, będę sprzedawał po sześć, dzisiaj będzie dobry dzień.

— Gdy ci dziewczę odpowiada, zaproponuj — cytrynada.

— Dla ochłody — tanie lody, tylko po osiem, zawsze na składzie — lody w czekoladzie, tylko po osiem...

— Stasiek, idź do Ryśka i powiedz mu, żeby dał w południe jeszcze pięć kartonów. Co, nie ma? Ma, ma, i niech nie pęka — dostanie swoją dolę. Leć, ale prędko... I zapytaj starego, co z tą mineralną... Spróbujemy po pięć, ale na początek nie bierz za dużo.

— Cytrynada, cytrynada...

III.

— Nie, musztarda już się skończyła. Serwetki? Daj, Ala, serwetki... Od jutra trzeba będzie przecinać na dwoje... To też kosztuje. Ile szaszłyków? Trzy? Proszę, sześćdziesiąt dwa czterdzieści... Ala, dołóż cebuli... I uważaj na ogień — ja musze rozmienić forsę... Jak przyjdę, leć do domu, wyszykuj tę przybudówkę. Ceń dwadzieścia, opuść na piętnaście... Umyj podłogę i postaw kwiatki, to robi wrażenie... Mój Boże żebym miał jeszcze ze trzysta kilogramów

PŁAĆCIE ZA WSZYSTKO

kiełbasy. Mają apetyt, niech jedzą... Cebulki nie za dużo, w tym roku droga jak cholera... Musztardy nie dawaj do stolików, tu na miejscu, nie znają umiaru... Jak idzie piwo? Nic na jutro! Wszystko dziś, dawaj tamtą skrzynkę... Teraz kiedy wreszcie się ruszyło trzeba się spieszyć... Jeszcze nigdy nie miałem tak kiepskiego sezonu, tracą forse w kawiarniach, na dansingach, knajpach... No, teraz do mnie, mieć takie trzy budy... Ten je już trzecią kiełbasę, mają forsę, skubańcy, no słoneczko, woda, jeść się chce... Ech już ja im trochę tej forsy wybiorę. Trzeba pomyśleć o czymś, co by przyciągało dzieci. Dzieciom się nie odmawia, dzieci muszą jeść, wrócić do domu upasione... Płaćcie — płaćcie za wodę, za powietrze, za fale i za spokojne morze, za upał i za wiatr od morza, za ten mały biały żagielek na horyzoncie za tę wypożyczoną lornetkę, za rower wodny, za łódkę i kajak, za cytrynadę na plaży, za toalety, za leżak, za wejście na molo, za wyjście z mola, tu dwa złote, tam pięć, tam pięćdziesiąt, raz jest się na wczasach, nie trzeba żałować pieniędzy, co tam sobie odmawiać, najważniejsze — dobry apetyt i zdrowie, proszę pana, proszę — dwa szaszłyki i kiełbaska — pięćdziesiąt trzy dwadzieścia, nie mam drobnych... Dziękuję panu, co dla pani? — „płaćcie, przecież macie dużo forsy, kupujcie breloczki, koła ratunkowe i mewy, pamiątki z Międzyzdrojów, z Sopotu, z Kołobrzega, i o moich szaszłykach też pamiętajcie...

MARIAN MISZALSKI

W ŁODZI:

Wyobraźmy sobie, że oto mamy w Łodzi bardzo piękne lato, jakie pamiętają tylko najstarsi. Ciepłutko jest, słonecznie i przyjemnie zwłaszcza w nagrzanych halach i spoconych biurach, gdzie toczy się wytężona praca. Jej rytm, dobre tempo, nie mogą być w żadnym wypadku wypadku zahamowane, ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś, to są normalne dzieje. Jedni wypoczywają w górach, nad morzem, w mazurskich lasach, drudzy ciężko pracują. Lecz przecież i oni radzi by do raju w każdą niedzielę, a czasem i sobotę, ponieważ dorobiliśmy się wolnych sobót. Do raju? Jakiego mianowicie?

I tu już czas zacząć lament z powodu lata, które może się przypadkowo trafić. Myślę, że Łódź powinna kojarzyć się, zwłaszcza w gorące dni, z wodą, czystą wodą, w której można odświeżyć zmęczone upałem i pracą ciało. Jest to skojarzenie słuszne, ale z pewnością trochę na wyrost.

Łódka w herbie nie przecież nie znaczy, skoro nie ma po czym pływać. Dowiedzieliśmy się ostatnio o zatruciu Stawów Jana, tak bardzo zrośniętych z tradycją niedzielnego wypoczynku łodzian. Bohaterów sprawy mamy dwóch, a cierpiących z powodu ich niefrasobliwości — dziesiątki tysięcy łodzian. W zakładach „Bistona" — trudno w to uwierzyć — nie zauważono awarii odpowiednich urządzeń, no i płynne chemikalia zatruły rzekę Olechówkę, a bogu ducha winna rzeka zatruła z kolei stawy. Dowiedzieliśmy się jednak i tego, że Łódzki Ośrodek Turystyki i Wypoczynku w ogóle niczego nie zauważył. Po udanej akcji zanieczyszczenia stawów w wykonaniu „Bistony", inni dowcipnisie dolali jeszcze trujących produktów naftowych. Straciliśmy na pewien czas rzadki w Łodzi, a więc bezcenny ośrodek wypoczynku i jakaś część pracujących będzie musiała uznać wany za kąpieliska.

Duszne są ulice Łodzi latem, mało przewiewne, zwłaszcza w śródmieściu, a gdy nie wieje wiatr i osiadają powoli, lecz skutecznie spaliny — są nie do zniesienia. Jakim powietrzem oddychamy w Łodzi, jak dalece jest ono szkodliwe? Obawiam się, że nie znajdziemy pełnej odpowiedzi, tego się jeszcze porządnie metodycznie nie bada, chociaż na II Kongresie Nauki Polskiej uchwalono, że badać się będzie. Ile my wchłaniamy szkodliwych tlenków, szczególnie tlenku siarki, tak bardzo dokuczliwego zwłaszcza w okresach „grzewczych" (proponuję nagrodę specjalna za wynalezienie tego słowa) — tego także dokładnie nie wiemy, co wcale nie znaczy, że nie wiemy nic. Działają w naszym mieście instytucje ochrony naturalnego środowiska — Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Miasta Łodzi, Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska, a także Komisja Ochrony Środowiska Rady Narodowej Miasta Łodzi. Wszystkie te instytucje zgodne są co do tego, że dzieje się źle — „POLFA" nadal dostarcza lekarzom klientów i równocześnie odpowiednich środków leczniczych. Wiele zresztą zakładów przekracza tak zwane „progi zanieczyszczeń" i nie ma na nich silnych, dzisiaj niemal każdy zakład stać na zapłacenie kary.

Każdej soboty, a już z pewnością — niedzieli około 150 tysięcy łodzian próbuje z dużą determinacją zorganizować sobie krótkie wypoczynki, tymczasem liczba miejsc noclegowych w bliższych okolicach miasta nie przekracza ośmiu tysięcy. Gdzież się wyprawić — oto jest pytanie! Z pewnością już nie nad Widawkę, ponieważ ta rzeka została zatruta. Nie bardzo jest po co jechać do tej rzadkiej w pobliżu Łodzi enklawy spokoju i czystej wody. Darmo szukać chytrego okonia, klenia, tłustych płoci i brzan. Po Widawce pozostał tylko smutny wiersz poety i akta sprawy w sądzie. A mleczarnia, jak mleczarnia, przyjmie wyrok z godnością, karę zapłaci i nadal będzie wypełniać swoje zadania w służbie człowiekowi — świeże masło za śmierdzącą rybę.

Więc może nad Zalew Sulejowski? Piękna to i niezwykle dla Łodzi pożyteczna inwestycja, ale wypoczywający musi radzić sobie sam, pusto tam jeszcze i głucho, żadnych kiosków spożywczych, barów, obiektów sportowych ze świecą szukać, kwatery tylko prywatne, ale chyba nie są one prowadzone przez bezinteresownych Samarytan. Palić trzeba własne ogniska, przypiekać przywiezione kiełbaski, rozrzucać własne śmieci. Niczym było pobojowisko po bitwie pod Grunwaldem, wobec tego, co można zobaczyć nad zalewem w poniedziałki.

Do Głowna? Jeszcze nie, tam właśnie zmarnowano sporo ludzkiego entuzjazmu i bezinteresowności. Być może nowa sytuacja Głowna, które stało się już częścią łódzkiego województwa miejskiego sprzyjać będzie dokończeniu z takim rozmachem rozpoczętych prac nad uruchomieniem ośrodka wypoczynku i rekreacji.

Powiadam więc raz jeszcze — poczekajmy z tym prawdziwym latem, bo i jakże je wykorzystamy, jeśli by się przytrafiło? Letni repertuar kin w Łodzi nie zachęca, z tego co wiem, zapowiada się raczej rewia remanentów, bubli i rewelacji w rodzaju — „Gdyby kobieta była don Juanem". Teatry zamknięte, nawet „Moralności pani Dulskiej" nie da się obejrzeć po raz setny z okładem. Zostaje tylko miękki fotel i jak zawsze niezawodna telewizja. Obejrzymy raz jeszcze męczących się braćmi Ricco świetnych aktorów, dowiemy się raz jeszcze, jak to czterej pancerni, jeden pies i jeden czołg z dużym wdziękiem nas wyzwalali, podumamy enty raz nad sukcesami kapitana Klosa, który o tyle był mądry, o ile bardzo głupi jego przeciwnicy. A przecież to nie koniec możliwości szklanego ekranu, czeka nas jeszcze doktor Ewa i jej pacjenci, Janosik i jego harnasie pokażą nam, abyśmy nie zapomnieli, jak się kradnie w imię dobra ogólnego. W rezerwie pozostaje Elektor Brandenburski i polska stadnina, filmy z myszką, myszka w filmach, piosenki z Sopotu, wesołe programy rozrywkowe z Łodzi, wykonywane przez każdego, kto ma akurat czas.

Z daleka od zanieczyszczonych wód, gdzie ostatnia ryba zasypia, z dala od przetłoczonych środków lokomocji, państwowych i municypalnych, dusznych kin wypełnionych nie wentylowaną nudą, w ciszy domowego ogniska, cieszyć się będziemy nie znanymi przygodami małego rycerza, do lodówki sięgać po coś rozgrzewającego, bo lata być może nie będzie, tylko taka pora niewypierzona, ani ciepła, ani zimna, nijaka, podobna do obrazu naszego miasta w lipcu i sierpniu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Fot. Paweł Pierściński

LAMENT

„GŁOSU ROBOTNICZEGO" ☆ WIELKI FESTYN „GŁOSU ROBOTNICZEGO" ☆ WIELKI FESTYN

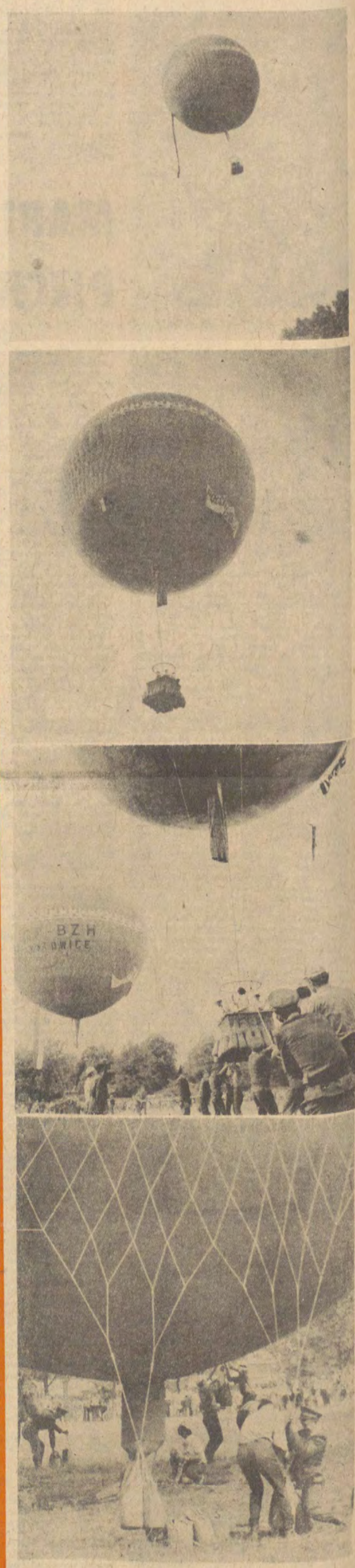

Zdjęcia: WŁODZIMIERZ PARYS

Dalszy ciąg ze str. 1

kłopoty? Łodzi wystarczy jedna drużyna w I lidze.

Ale w tym sezonie ta drużyna o mało co nie znalazła się w drugiej lidze, a więc w tym sezonie, który zakończył się w niedzielę 22 czerwca, awans **RTS Widzew** bardzo potrzebny był miastu, aby ratować jego piłkarski honor. W rezultacie obie drużyny znalazły się w I lidze i to wielce satysfakcjonuje kibiców piłki nożnej, sympatyków jednej i drugiej drużyny. Komplikacje biorą się jednak z różnych warunków w jakich obie drużyny będą walczyły w pierwszej lidze. Aby to dokładnie zrozumieć trzeba cofnąć się nieco w czasie.

TRADYCJE

W 1910 roku powstało w Łodzi na Widzewie **TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ROZWOJU FIZYCZNEGO.** Inicjatorami byli bracia Edward i Bolesław ZDZIARSCY — aktywiści Polskiej Partii Socjalistycznej. Na początku zajmowano się gimnastyką i zapasami. Ale już w 1911 roku drużyna piłkarska TMRF, występująca pod nazwą **WIDZEW**, bierze udział w rozgrywkach o mistrzostwo Łodzi.

Lata pierwszej wojny światowej zahamowały działalność sportową widzewskich robotników. Powrócili oni do niej dopiero w 1920 roku, zakładając **ROBOTNICZE TOWARZYSTWO SPORTOWE WIDZEW.** Od pierwszych swych chwil **RTS Widzew** nie miało lekkiego życia. Mieszczańscy działacze sportowi Łodzi szykanowali robotniczy klub, uniemożliwiając mu zajęcie właściwego miejsca w robotniczym mieście. Kiedy na przykład w 1922 roku **Widzew** zgłosił się do rozgrywek mistrzowskich Łódzkiego Okręgu Związku Piłki Nożnej nie chciano drużyny dopuścić do klasy B, choć kwalifikował ją do tego poziom przygotowania. Aby przeciwdziałać działalności **RTS Widzew** powołano konkurencyjny KLUB SPORTOWY „WIMA", któremu patronował przemysłowiec łódzki Kohn.

Widzewiacy jednak nie poddali się przeciwnościom. W 1930 roku własnymi rękoma wybudowali oni boisko sportowe ze skromną trybuną, które po niewielkich zabiegach modernizacyjnych służy i dziś pierwszoligowej drużynie **RTS Widzew.**

W 1945 roku, w dwa miesiące po wyzwoleniu Łodzi, działacze **RTS Widzew**, którzy prowadzili konspiracyjną pracę w czasie okupacji i którzy nie rozwiązali klubu przez całą wojnę, powołują — zgodnie z tradycją — sekcję piłki nożnej. **W 1948 ROKU PRZEZ JEDEN SEZON PIŁKARSKA DRUŻYNA WIDZEWA WYSTĘPOWAŁA W I LIDZE.**

W latach pięćdziesiątych naszego stulecia w sporcie polskim nastąpiły zmiany strukturalne, w wyniku których **RTS Widzew** sprowadzono do roli przyzakładowego koła sportowego. Do swoich tradycji powrócił **RTS Widzew w 1956 roku.** W 4 lata później **ROBOTNICZE TOWARZYSTWO SPORTOWE WIDZEW** obchodziło swoje 50-lecie, otrzymując pawilon sportowy, Złoty Krzyż Zasługi oraz Honorową Odznakę miasta Łodzi. W uroczystościach uczestniczył przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki. Był to rok 1960.

W 10 lat później, w czasie obchodów 60-lecia RTS Widzew zarząd towarzystwa stwierdził między innymi: **„Nie pomniejszając ambicji i aspiracji działaczy i szkoleniowców pracujących w naszym klubie pragniemy w pierwszej kolejności zapewnić awans do I ligi drużynie bokserskiej, której priorytet podtrzymują władze sportowe i związkowe miasta. Nadal bliskie nam będą problemy kolarzy i koszykarzy, jak również siatkarek, lekkoatletów i piłkarzy".**

Był to rok 1970.

Jesienią 1969 roku piłkarską drużynę Widzewa objął były reprezentant Polski, zawodnik i trener ŁKS — **LESZEK JEZIERSKI.** W tym czasie piłkarze **Widzewa** walczyli o awans do III ligi.

W sezonach piłkarskich 1970/1971 i 1971/1972 widzewiacy walczą o awans do II ligi Spełnienie marzeń przychodzi w 1972 roku i widzewscy piłkarze zaczynają z miejsca odgrywać czołową rolę wśród drugoligowych drużyn. W 1974 roku kończą sezon na trzeciej pozycji. W 1975 — awansują do pierwszej.

O widzewskiej drużynie mówi się, że mają swój styl, że grają nowocześnie. A w czasie niedzielnego, decydującego spotkania, na trybunie powtarzano, że grają znacznie lepiej od piłkarzy ŁKS. **Leszek Jezierski** twierdzi, że piłkarska drużyna Widzewa to konglomerat młodości i rutyny. Od siebie, mogę dodać, że jest to też rezultat zapału, ambicji i wielkiej pracy.

Leszek Jezierski przyszedł do Widzewa jesienią 1969 roku. Niewątpliwą jego zasługą jest wyprowadzenie drużyny z głębokiego upadku i poprowadzenie jej przez III i II ligę do pierwszej.

Sam zaczął grać w piłkę w 1954 roku. W dwa lata później, kiedy ŁKS awansował do I ligi, był zawodnikiem tej drużyny i wielokrotnym reprezentantem Polski. Wraz z drużyną ŁKS cieszył się jej sukcesem w mistrzostwach Polski w 1958 roku, kiedy to jedenastka ŁKS była liderem tabeli pierwszoligowej. Wraz z jedenastką ŁKS zdobył rok wcześniej Puchar Polski.

W 1962 roku Leszek Jezierski przeszedł do łódzkiego **Startu,** ukończył w tym czasie studia trenerskie w Katowicach i po zakończeniu kariery sportowej przeszedł do pracy szkoleniowej. Trenował juniorów w ŁKS, prowadził również szkółkę piłkarską „Hala Sportowa", której zawodnicy zdobyli mistrzostwa Polski juniorów. Został też trenerem pierwszego zespołu ŁKS, w chwili kiedy ten znajdował się w II lidze i kiedy po pięciu kolejnych rozgrywkach wyłonił się problem utrzymania drużyny w II lidze. Jesienią 1969 roku przeszedł do Widzewa.

CO BĘDZIE DALEJ?

Jan Ciszewski, w którymś z ostatnich sprawozdań sportowych w telewizji, powiedział o piłkarzach **Widzewa — drużyna z przedmieścia Łodzi.** Byłoby rzeczą niebywale śmieszną obrażać się na Jana Ciszewskiego, że nie zna geografii miasta, tym bardziej, że mimo woli utrafił w sedno. **RTS Widzew jest klubem ze sportowego przedmieścia Łodzi.**

Jest niewątpliwie paradoksem, że najstarsze w Polsce towarzystwo sportowe, o wielkich robotniczych tradycjach, od lat boryka się z poważnymi trudnościami. Kiedy **RTS Widzew** wszedł do II ligi, działacze sportowi **Widzewa,** sympatycy tego klubu i jego kibice, pomogli poszerzyć boisko. Tu chciałabym tylko przypomnnieć, że ŁKS był swego czasu jedynym w Polsce klubem z drugoligową drużyną, szczycącym się sztucznym oświetleniem stadionu.

— Kiedy jakieś pół roku temu zapytano nas na spotkaniu z władzami dzielnicy — mówi Janusz Haren, dotychczasowy kapitan zespołu Widzewa — **czy wejdziemy do I ligi, to wtedy odpowiedziałem, że będziemy się o to starali wszystkim siłami, ale byłoby dobrze, aby klub był również do tego przygotowany.**

Sezon piłkarski II ligi zakończył się 22 czerwca 1975 roku. Sezon piłkarski I ligi rozpoczyna się 3 czerwca 1975 roku. Przerwa wynosi tylko **41 dni.** Przez ten czas trzeba stadion przy ul. Armii Czerwonej przygotować do nowych potrzeb. Czasu jest diabelnie mało.

Działacze **RTS Widzew** uzgodnili już, że ziemię z wykopów pod budowę EC — IV będzie wozić się na stadion **Widzewa** dla usypania korony. Obecnie widownia tego stadionu może pomieścić około 5 tys. widzów W niedzielę 22 czerwca 1975 roku było na tym stadionie przeszło 12 tys. widzów. A co będzie się działo, gdy przyjdzie do spotkania ŁKS — Widzew?

Zawodnicy **RTS Widzew** i Leszek Jezierski twierdzą zgodnie, że wiele innych klubów drugoligowych dysponuje znacznie lepiej przygotowanymi stadionami i lepszym wyposażeniem.

— Ale gdyby nam przyszło grać bez koszulek — powiedział Janusz Haren — **to namalujemy sobie czerwoną kredą numery na plecach i będziemy grali bez koszulek.**

— Po zmianach w zarządzie — powiedział Leszek Jezierski — **przy wydatnej współpracy wiceprezesa Ludwika Sobolewskiego i kierownika drużyny Stefana Wrońskiego wiele zmieniło się w klubie. Wiele trzeba będzie jednak jeszcze zrobić, aby nasza drużyna stała się równorzędnym partnerem w ekstraklasie.**

Wejść do I ligi to niewątpliwy sukces. W ubiegłym roku pierwszoligową drużyną stała się między innymi gdyńska Arka, ale też przebywała w tej grupie tylko jeden sezon. Nikt chyba nie chce, aby taki los spotkał **Widzew.** Więc wejść do pierwszej ligi to połowa sukcesu, druga połowa — utrzymać się w pierwszej lidze. Sama ambicja do tego nie wystarczy.

OPINIE

— Nie ulega dla mnie wątpliwości — powiedział Janusz Kubicki — **że drużynie będzie potrzebny zastrzyk świeżej krwi. Mamy nadzieję, że przyjdą do nas utalentowani zawodnicy, z którymi nawiążemy dobrą współpracę. Do tej pory nasza drużyna pomagała innym, teraz nadszedł czas, aby pomóc nam.**

— W nowym układzie administracyjnym — stwierdził prezes Wojewódzkiej Federacji Sportu, Wojciech Skupiński — **każde województwo będzie miało uzasadnione ambicje. W tej sytuacji niezwykle trudno będzie zdobywać nowych zawodników do renomowanych drużyn. Powstaje zatem konieczność przygotowywania „ławki rezerwowych" w klubach.**

— Dla Łodzi — kontynuował Wojciech Skupiński — **dobrze się stało, że Widzew wszedł do I ligi. Powstaje bowiem element konkurencji i rywalizacji, a to jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Zmusi to niewątpliwie drużynę ŁKS do większych wysiłków, do większej pracy. Mam też nadzieję, że RTS Widzew zrealizuje w terminie swoje plany inwestycyjne i otrzyma nowoczesny zespół urządzeń sportowych godnych tego klubu.**

— Wejście naszego zespołu do I ligi komplikuje wielce sytuację klubu — powiedział prezes RTS Widzew, Jerzy Krawczyk. — **Posiadamy wprawdzie plany budowy nowego stadionu, z halą, basenami, ale nie ma jeszcze decyzji, kto będzie inwestorem i kto będzie wykonawcą. Termin ukończenia prac wyznaczony został na koniec 1977 roku. Czasu więc pozostało mało. Chcielibyśmy, aby nasz zespół utrzymał się w I lidze. Będziemy więc musieli stworzyć mu odpowiednie warunki w takich ramach, jakimi obecnie dysponujemy. A przy tym wszystkim nie możemy też zapominać, że przed zespołem bokserów postawiliśmy cel: wejście do II ligi. A także i o tym, że mamy również drużynę koszykówki w II lidze i nie jest to szczyt osiągnięć tej drużyny.**

— Doskonale rozumiem — powiedział dyrektor WZPB 1 Maja, zakładu opiekuńczego, Wiesław Szymajda **— że teraz klubowi będzie potrzebna większa pomoc i że obowiązek ten spadnie między innymi na nas. Ale myślę, że tej pomocy udzieli klubowi również miasto, gdyż ambicją Łodzi powinno być mieć przynajmniej dwa zespoły w I lidze.**

— Serdeczne gratulacje należą się piłkarzom Widzewa i działaczom tego klubu za tak chlubnie wywalczony awans do I ligi — stwierdził prezes Łódzkiego Klubu Sportowego, Mirosław Jędrzejczak. — **Moim zdaniem zespół Widzewa jest w stanie nawiązać równorzędną walkę z wielu drużynami I ligi. Dla naszego zespołu jest to niewątpliwie poważny rywal i bardzo się z tego cieszymy. Myślę, że cieszą się z tego też miłośnicy piłki nożnej, będą bowiem co tydzień gościli w Łodzi pierwszoligowe zespoły, będą wreszcie mieli łódzkie derby w piłce nożnej.**

— Dla RTS Widzew — powiedział też Mirosław Jędrzejczak — **awans do pierwszej ligi będzie poważnym kłopotem. Przede wszystkim ze względu na niezwykle ciasny stadion, a po drugie — ze względu na zbyt szczupłą ławkę graczy rezerwowych. U nas wprawdzie mamy więcej graczy rezerwowych, ale przy kontuzjach, po żółtych i czerwonych kartkach, drużyna ma również kłopoty z wystawieniem właściwego składu. Jednakże w miarę naszych możliwości będziemy starali się przyjść z pomocą bratniemu klubowi.**

— Tak na moje odczucie — powiedział reżyser Wytwórni Filmów Oświatowych, Zygmunt Skonieczny — **piłkarze Widzewa pobędą rok w I lidze i wrócą do drugiej. Byłaby to oczywiście krzywda dla tego zespołu i aby tak się nie stało, trzeba byłoby nie dopuścić do dotychczasowej praktyki, że najlepszych zawodników Widzewa zabierało się do ŁKS, oddając Widzewowi tych, którzy nie sprawdzali się w zespole. Przecież już w czasie walki o awans do I ligi Widzew oddał do ŁKS Marchewkę, który tym się wyróżnił w nowej drużynie, że zarobił czerwoną kartkę. A przecież to utalentowany piłkarz. Uważam, że obecnie nie można już tylko samego ŁKS traktować jako zespołu reprezentującego Łódź, a to wiąże się również z prawidłowym finansowaniem obu klubów. Według mego zdania RTS powinien otrzymać dodatkowego opiekuna i jako takiego widziałbym np. ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex".**

— No to dziś powitaliśmy Widzew w I lidze — powiedział jeden z kibiców opuszczając stadion w niedzielę 22 czerwca — **a za rok powitamy ich w II lidze.**

— Nie wygłupiaj się — odpowiedział na to jego kolega — **są w stanie nawiązać równorzędną walkę z zespołami ze środka pierwszoligowej tabeli i tam się uplasować. To na początek wystarczy. Mam nadzieję, że nikt nie dopuści do tego, aby wrócili do II ligi.**

22 CZERWCA 1975 ROKU

W niedzielę, 22 czerwca 1975 roku, na stadionie **RTS Widzew** rozstrzygnął się los piłkarskiej jedenastki tego klubu, ale jeszcze bardziej skomplikował się los piłkarstwa w Łodzi. Do tej pory sprawa była bardzo prosta: wszyscy martwili się o ŁKS w I lidze. Teraz trzeba będzie się martwić o dwie drużyny. Jest to zmartwienie na miarę województwa miejskiego łódzkiego. Ale ciągle nurtuje mnie wątpliwość, czy jesteśmy do takiego zmartwienia przygotowani, czy potrafimy podołać kłopotom, jakie się obecnie wyłonią przed obu piłkarskimi drużynami? Jak wynika z przytoczonych odpowiedzi — jest to troska, którą podziela wielu łódzkich kibiców.

Zarząd **RTS Widzew** jest dumny ze swoich wieloletnich tradycji i ma ambicję sprostać im w najbliższych latach. Członkowie zarządu są świadomi trudności, jakie teraz przed nimi stają, ale są też dobrej myśli, że tym trudnościom dadzą radę. Dobrej myśli jest też **Leszek Jezierski,** który w ciągu 6 lat swojej pracy w **RTS Widzew** przeprowadził piłkarzy tego klubu przez trzy awanse: do III ligi do II ligi i do I ligi. Jest to piękny sukces trenera.

— Przeszliśmy twardą szkołę — powiedział Janusz Haren, który w niedzielę, 22 czerwca 1975 roku, rozegrał ostatni mecz w barwach Widzewa — **nie głaskano nas po głowie. To, co osiągnęliśmy, osiągnęliśmy ciężką pracą. Niewiele nam pomagano. Myślę, że nasz zespół zasłużył sobie wreszcie na pomoc i uznanie.**

Gratulując drużynie RTS Widzew awansu do I ligi warto podkreślić zapał i pracowitość całej drużyny i warto życzyć im, aby w tej lidze pozostali. A tym wszystkim, którzy mogą przyczynić się do tego, aby spełnili pokładane w nich nadzieje.

ROBOTNICZE TOWARZYSTWO SPORTOWE WIDZEW NAJPEŁNIEJ SOBIE NA TO ZASŁUŻYŁO!

BOGDA MADEJ

GRATULACJE DLA „WIDZEWA"!

BOGDA MADEJ

Zdjęcia: Włodzimierz Parys

SPRAWY LUDZI

„BLONDI"

„W prywatnym życiu Hitlera owczarek odgrywał chyba najistotniejszą rolę, ważniejszą niż najbliżsi współpracownicy"...

„...Był (pies) jedyną żywą istotą w kwaterze głównej, która wpływała dodatnio na nastrój Hitlera. Ale pies nie mówił..."

(Albert Speer — Wspomnienia)

„...Mały pies, którego otrzymał w upominku, bawi się teraz w jego pokoju. Całe jego serce należy do tego pieska. Może robić, co chce, w schronie Führera. Obecnie jest on bliższy sercu Führera niż cokolwiek innego..."

(Goebbels — Dziennik)

Czy znacie starą rosyjską bajkę o Kościeju Nieśmiertelnym? Kościej był nieśmiertelny, ponieważ ukrył własne serce, zakopał je za siedmioma górami i siedmioma lasami. Czy Hitler miał serce — miał oczywiście w znaczeniu czysto fizjologicznym, pompę do tłoczenia krwi. W znaczeniu humanistycznym, moralnym Hitler serca nie miał. Był ośrodkiem monstrualnej energii i monstrualnej nienawiści.

Nie przeszkadzało mu to wcale w estetycznym przeżywaniu świata. Nieudany artysta nie kochał wcale Ewy Braun, jej miękki profil na tle dzikich, majestatycznych gór pobudzał w nim, jak twierdził, „myśli twórcze". Bezpośrednio po wojnie krążyły wieści, że Hitler ukrył się, że przeżył Tropiono Hitlera. szukano Hitlera, okazało się, że Hitler jednak istotnie zginął.

W płomieniach dogasającej pożogi zapomniano o psie Hitlera. Psa Hitlera szukał jeden tylko człowiek, prof. Trevor Ropet — agent wywiadu brytyjskiego, autor książki „Ostatnie dni Hitlera". Oczywiście, że w Polsce nie ma zwolenników Hitlera, ten człowiek uczynił wszystko, aby nie wzbudzać współczucia, nawet u ludzi najbardziej czułych. O Hitlerze pisano już zresztą dużo, może nawet zbyt dużo — natomiast o psie Hitlera dane są skąpe.

Ci, którzy kochają psy, którzy uważają, że je znają, twierdzą, że psy upodobniają się do panów. Dobry pan — dobry pies, zły pan — zły pies. Pies Hitlera nie potwierdza tej tezy, tej reguły. Poświęciłem tej figurze trochę czasu, przeczytałem wszystkie istniejące dane o psie Hitlera. Nigdzie nie znalazłem informacji, aby kogoś zagryzł, pokąsał, nawet by na kogoś jadowicie warczał. Pies łasił się do generałów, funkcjonariuszy NSDAP, SS-manów, stronił od kucharek wegetariańskich, lgnął do każdego, od kogo spodziewał się otrzymać kawałek mięsa.

Inni miłośnicy psów uważają, że pies poznaje dobrego człowieka i lgnie do niego, poznaje także złego człowieka i stroni od niego. Pies Hitlera lgnął do swego pana, mimo, że Hitler był człowiekiem złym, zapewne najgorszym ze wszystkich ludzi. „Czekał na swego pana szalejąc z radości". Wielu twierdziło, że Hitler był umysłowo chory, podobno jego półkule ulegały niszczeniu przez komplikacje kiłowe, bądź przez chorobę Parkinsona. Czy pies Hitlera był także chory?

W każdym razie w kwestii Hitlera i psa Hitlera, należy się wyraźnie zdecydować, albo przestać o nich pisać zupełnie, albo też badać i zapisywać wszystko, co zbadane zostanie, nie lekceważąc nawet pozornych drobiazgów. Osobiście skłaniam się do tego drugiego stanowiska. Na kilka godzin przed samobójstwem Hitler zastrzelił psa. Pies nie przeczuł tego kroku, powitał z radością zbliżającego się z bronią w ręku Hitlera.

BERNARD SZTAJNERT

SZKOŁA DLA ROLNICTWA

WOJEWÓDZTWO SIERADZKIE

Obszar: 4,9 tys. km kwadratowych. Ludność: 388 tysięcy.

W granicach województwa leży 9 miast i 43 gminy. Wśród miast: Sieradz, Zduńska Wola, Łask, Wieluń.

SIERADZ. Pierwsza wzmianka historyczna pochodzi z 1136 roku. Badania archeologiczne wskazują, że już w VI wieku naszej ery był tu gród warowny. W XII wieku geograf arabski Al-Idrisi wymienia Sieradz na równi z Krakowem, Gnieznem i Wrocławiem. Pod koniec XIII wieku Sieradz stał się stolicą księstwa sieradzkiego. Od XIV do XVIII wieku był stolicą powiatu i województwa. W 1292 zamek sieradzki bezskutecznie oblegali Czesi. W 1331 zamek zdobyli i miasto zniszczyli Krzyżacy. Prawa miejskie otrzymał Sieradz przed 1255 rokiem.

W 1823 roku A. Harrer założył tu manufakturę sukienniczą, która działała tylko do 1833 roku. Przemysł w Sieradzu zaczął rozwijać się po 1945 roku. Powstały tu — jako pierwsze — Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „SIRA".

Potencjał przemysłowy województwa sieradzkiego reprezentują fabryki w Zduńskiej Woli, Łasku i Wieluniu. W Zduńskiej Woli — przemysł włókienniczy pończosznictwo, budowa maszyn. W Łasku — przemysł drzewny. W Wieluniu — budowa urządzeń chemicznych.

Połowa ludności województwa sieradzkiego utrzymuje się z rolnictwa. Znajduje się tutaj 74 358 gospodarstw rolnych. Przeszło 46 proc. z nich ma powyżej 5 hektarów. 73 proc. ogólnej powierzchni województwa zajmują użytki rolne. Lasy — około 19 proc.

W miastach województwa sieradzkiego długość sieci wodociągowej — według danych z 1974 roku — wynosiła 88,5 km, na wsi — 191,5 km. Sieć kanalizacyjna: w miastach — 91,4 km, na wsi — 14,7 km. Żadne gospodarstwo nie posiada sieci gazowej.

Stałych kin — 25.

W szpitalach 62 łóżka na 10 tys. mieszkańców. Pracuje 320 lekarzy w całym województwie, czyli 8,3 na 10 tys. mieszkańców.

W województwie jest 10 szkół licealnych, średnich szkół technicznych i zawodowych — 41.

JACEK INDELAK

OTWARTA BRAMA

I.

Co starsi mieszkańcy Korczewa, Wojsławic, Tymienic czy Izabellowa doskonale pamiętają dziedzica Siemiątkowskiego, którego włości obejmowały pół tysiąca hektarów gruntów ornych i dwa razy tyle — lasów. Antoni — ostatni z rodu Siemiątkowskich, rezydował w neoklasycystycznym pałacyku wzniesionym w Wojsławicach.

Na korczewskim cmentarzu trudno dziś znaleźć jakieś ślady po Antonim. Pogrzebany w okresie międzywojennym tradycyjnie — w podziemiu cmentarnej kaplicy, długo tam jednak nie spoczywał w spokoju. W 1939 Niemcy wykurzyli wszystkich lokatorów wojsławickiego pałacyku, lokując tam partyjną szkołę NSDAP. A trumnę ze starym usunęli z korczewskiej kaplicy.

Dziś na cmentarzu pokazuje się ciekawym rodzinny grób Siemiątkowskich, ale grób to już nowy, powojenny, nowoczesną kryty płytą. Jest to grób skromniejszy niż wiele chłopskich grobowców — synów Antoniego: Jana i Bolesława.

Był i trzeci syn — Stanisław, ożeniony ponoć z piękną cudzoziemką. Zginąć miał, jak twierdzą, poczas działań wojennych. Antoni miał również córkę — Marię, voto rotmistrzową Klińską. Mieszka ona gdzieś na Wybrzeżu.

Pamięć chłopska jest dla Siemiątkowskich łaskawa: nikt ich krwiopijcami i tyranami tu nie nazywa. Na tytuł taki eks dziedzice — zdaniem miejscowych — nie zasłużyli sobie. Nie byli ani zbyt źli, ani zbyt dobrzy. Ale chłopskie grzechów odpuszczenie nie sięga granic przesady.

Na pańskie komnaty przyszły chłopskie dzieci. Zdobywać wiedzę. Jesienią 1945 roku zasiadło w szkolnych ławach pierwszych dwudziestu ośmiu uczniów Państwowego Gimnazjum Rolniczego w Wojsławicach. W 1948 roku szkoła przekształcona w Technikum Rolnicze, które istnieje do dziś.

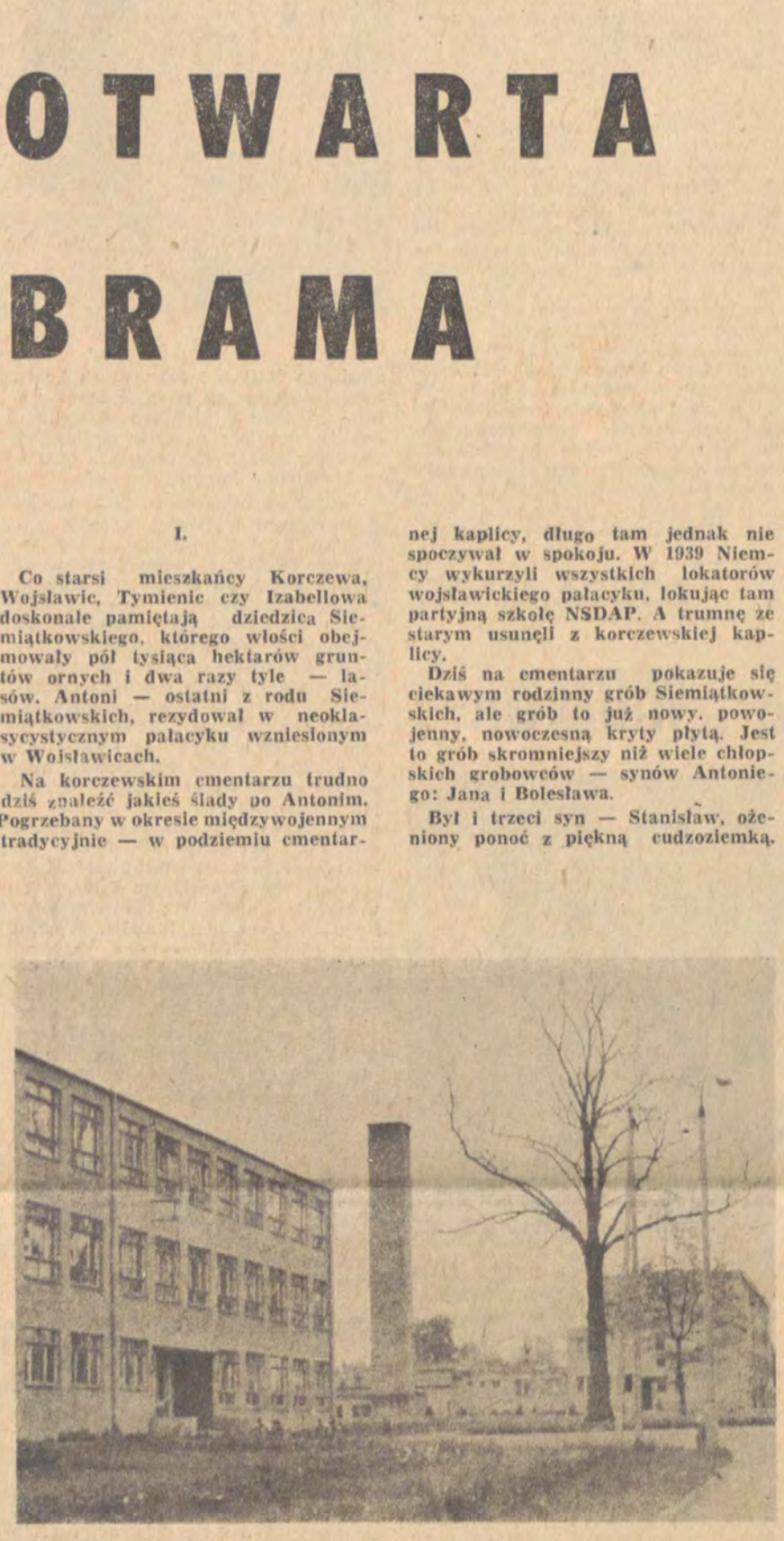

Fot. J. MRÓZ

II.

W Zduńskiej Woli drogę do Wojsławic wskaże każdy. Kilkukilometrowa asfaltowa szosa przemienia się niepostrzeżenie w piękną jesionową aleję. Po prawej stronie minąć trzeba nowoczesny budynek miejscowej podstawówki. Skręcić w prawo. Zjechać z głównej drogi na trylinkę ułożoną równo aż pod bramę wjazdową na teren technikum między dorodnymi starymi drzewami liściastymi.

A ten teren — to wielki, pięciohektarowy park, pośród którego jeszcze przed trzema laty stał tylko ów pałacyk, i równe dwa wieki od niego starszy klasycystyczny dworek — poprzednia rezydencja Siemiątkowskich. Wokół zaś gęsto rosły wysokie wiązy. Dziesiątki, setki drzew. Do dziś dochowała się tylko ich część. Natura rządzi się sama: park zaatakowały korniki. Drzewa zaczęły się sypać. Trzeba było je przerzedzić. Przetrwał więc tylko fragment pięknego parku. Na szczęście nie utworzyła się w jego centrum łysa polana. Wkroczyli tu bowiem robotnicy z Sieradzkiego Przedsiębiorstwa Budowlanego.

We wrześniu 1972 roku oddano do użytku internat na dwieście miejsc, do którego przenieśli się uczniowie, zamieszkujący przedtem 272 letni dworek Siemiątkowskich. Przekazano również osiemnastorodzinny blok mieszkalny dla pracowników szkoły. W styczniu 1973 roku otwarto nową szkołę, a w październiku — uruchomiono szkolne warsztaty.

A pozostałości po Siemiątkowskich? Trzeba przejść od bramy w stronę internatu, aby dostrzec w rozległej przerwie między przyległą do niego stołówką, a budynkiem szkolnym, cofnięty sporo w tył pałacyk. Dworek zaś jest jeszcze dalej, ukryty między drzewami, osłonięty ścianami sali gimnastycznej.

W 1945 niecała trzydziestka uczniów. A dziś? To przecież spore miasteczko szkolne. Dzisiejsze „Wojsławice" to nie jedna szkoła, ale duży ich zespół. W 1972 doszła Zasadnicza Szkoła Rolnicza. W zeszłym roku uruchomiono Telewizyjne Technikum Rolnicze, zaś w poprzednim roku — regularne szkoły zaoczne obu szczebli. Od września dojdzie jeszcze Zasadnicza Szkoła Mechanizacji Rolnictwa. Wojsławice wypuściły w świat już 750 absolwentów, od września 1975 jednorazowo kształcić się tu będzie 850 uczniów.

Fot. J. MRÓZ

Na biurku mgr inż. Wiesława Sobocińskiego leżą stosy podań. Na większości adnotacja: „Wysłać zawiadomienie". Chcą się uczyć, niech przyjeżdżają: drzwi szkół wojsławickich szeroko otwarte.

Dyrektor, dwudziestu nauczycieli, z uwagą przeglądają nazwiska, przyglądają się fotografiom. Wiele nazwisk już znają, wiele też twarzy przypomina im dawnych uczniów. To już taka wojsławicka tradycja: z niejednej rodziny kilka pokoleń zdobywało tu wiedzę. Przykład? — Mieczysław Mistrzak z Szadku, jeden z pierwszych absolwentów jest dziś przewodniczącym komitetu rodzicielskiego, a dwóch jego synów — Marek i Krzysztof zdawało w tym roku egzaminy maturalne. Albo mgr inż. Ryszard Szymczak, jako jeden z pierwszych kończył wojsławickie liceum, a dziś — w ramach „godzin" — wykłada tu uprawę roślin.

III.

Jest jeszcze druga brama. Nie od frontu, lecz od tyłu. Wychodzi ona na dwa rybne stawy. Potem ciągną się ogrodnicze działki, sad zasadzony i pielęgnowany uczniowskimi rękami. Tu właśnie — za furtką, zaczyna się przeszło osiemdziesięciohektarowe gospodarstwo pomocnicze wojsławickich szkół. Ogromny warsztat zajęć praktycznych. Warsztat nie tak ubogi jak przed laty, gdy jego główny trzon stanowiła obora z... 1700 roku, jeszcze jedna pozostałość po dawnym majątku Siemiątkowskich.

Obora spełnia nadal swą pierwotną funkcję, chociaż figuruje w wojewódzkim rejestrze jako zabytek wysokiej klasy. Ciągle jeszcze trzymane są tu małe byczki szkolnego chowu. Rola jej jednak dziś już ubożuchna.

TEATR NARODÓW

JERZY KATARASIŃSKI

MIĘDZYNARODOWY SEZON

Można przeżyć cały czerwiec w Warszawie, nie wychodząc z teatru. Przedstawienia, seminaria, pożegnania, wizyty, dyskusje, powitania, rewizyty, bilety, rozmowy hotelowe kuluary, autografy. Trwa, wskrzeszony przez Międzynarodowy Instytut Teatralny (ITI), obleczony w Warszawę, sezon Teatru Narodów. Udany, nieudany? To się jeszcze okaże. Zresztą — co przy takiej gigantycznej imprezie znaczą słowa udany, lub nieudany? Mierzyć je wskaźnikiem poziomu artystycznego? Wyznaczany jest on w każdym z przypadków narodową „delegacją". Uczestniczyć w sezonie, to zaszczyt, a więc poszczególne kraje, teatry, przysyłają swoje najlepsze, najbardziej reprezentatywne przedstawienia. Publiczność chodzi, smakuje, porównuje szturmuje (największe powodzenie mierzone staraniami o bilety, ma Waseda Sho-Gekijo Co. z Tokio — istnieją bowiem, per analogiam, nadzieje, że Japończycy znów kogoś rozbiorą), przypomina sobie języki obce. Jest sobie co przypominać, bowiem w warszawskim sezonie bierze udział 18 zespołów z 16 krajów.

Dla ludzi teatru sezon ten znaczy jeszcze co innego. Choć przecież jeżdżą, choćby w ramach współpracy obejmujących wzajemne rewizyty teatrów — to mieć możliwość obejrzenia jednego dnia kolegów z goetebor skiego Stadtsteatern (Szwecja), innego — Teatru im. Mossowietu z Moskwy (słynne przedstawienie „Wasyla Tiorkina" Twardowskiego), lub Abafumi Company z Kampala (Uganda), czy też Piccolo Teatro di Milano z Włoch — znaczy zupełnie co innego. Co innego słyszeć „że", wczytywać się w doniesienia specjalistycznych czasopism, karmić opowieściami o tym, jak swoją wizję teatralą realizuja Hiszpanie z Theatro Nacional Maria Guerrero z Madrytu, lub Szwedzi z Kunliga Dramatiska Teatern ze Sztokholmu, co innego móc to oglądać dzień po dniu. Kocioł wyobraźni, technik aktorskich, metod realizacyjnych; kontakty, inspiracje, pomysły.

Choćby „Dobry człowiek z Seczuanu" Brechta w Völksbuhne z Berlina (NRD). Niemcy mają wszelkie prawo znać Brechta lepiej niż my, ale przecież ich przedstawienie u każdego, kto w roli Szen Te, oglądał przed laty Halinę Mikołajską, musi wywołać odruch sprzeciwu. I zaraz refleksja — jaki Brecht jest prawdziwszy — ten, którego pokazali koledzy z NRD, z aktorami w karykaturalnie przerysowanych maskach i kostiumach zniekształcających postać, nogi, ręce; Brecht odczłowieczony, rozgrywający się w chłodno wykalkulowanych, przyznajmy, że efektownych sytuacjach — czy też tamten, „nasz" Brecht, pamiętany do dziś, współczujący jednak współbratymcom z ludzkiego rodzaju, szukający ciepła w chłodzie, liryzmu w brutalności? Może to być dyskusja na noc całą, albo i na dłużej — czego chciał Brecht, jakie odczucia chciał wywołać, co naprawdę, głęboko myślał o ludziach? I — co to znaczy „teatr narodowy", „narodowy styl"? I — te maski, te sytuacje, te sposoby sceniczne, są jednak efektowne, bardzo „teatralne", więc — gdzie by je tak można...

Wejść na Foksal, do Domu Dziennikarza, gdzie mieści się prasowy sztab sezonu, to wejść do Wieży Babel. Krytycy, obserwatorzy z całego świata. Warszawa stała się na ten czas światową stolicą teatru, stąd teraz płyną opinie, stąd moskwiczanin paryżanin, nowojorczyk, dowiaduje się, co słychać w Citizens' Theatre w Glasgow, w Teatrze im. Gergelya Csiky z Kaposvar (Węgry), jak wypadły „Diabły z Loudun" Pendereckiego w inscenizacji Dejmka w warszawskim Teatrze Wielkim, co proponuje Atelie 212 z Belgradu, w jakiej formie jest Sven Vollter.

Svena Vollera widziałem w przedstawieniu „Gustawa III" Strindberga, prezentowanym przez teatr z Goeteborgu. Trzyma on cały spektakl. Najpierw dlatego, że go nie ma i publiczność długo go wyczekuje, wypatrując w korowodzie postaci, aż wreszcie, w momencie, kiedy bez niego przedstawienie byłoby nieznośne, dokładnie w tym punkcie (dobre wejście!), pojawia się on — i od tej pory Sven Vollter trzyma spektakl dlatego że jest. Tragiczny, śmieszny, ale i groźny król, tworzący z polityki przerafinowany teatr. Postać ta, to chyba szczyt okrótnej, zgryźliwej ironii Strindberga: można by też powiedzieć, gdyby Vollter nie miał dopiero 41 lat i innych ról za sobą i przed sobą — że to aktorski szczyt Vollera. Z początku nas, przywykłych do cieniowania (jednak) konturów postaci, może razić skrajny ekshibicjonizm, z jakim Vollter traktuje się jako Gustaw III, ale szybko rozumiemy celowość tej gry, opartej o kliniczne chyba obserwacje. Upudrowany, wymalowany transwertyta, homoseksualista, mówiący skrzekliwym, histerycznym głosem, zajmujący się w przerwach między intrygami i wojnami, wyszywaniem haftów i koronek, aż wreszcie zaplątujący się jak w pajęczynę, we własne, polityczne koronki. I dziwne — mimo wszystko, a raczej — dzięki Svenowi Vollterowi, czuje się w Gustawie III człowieka, odczuwa się pewien rodzaj współczucia dla nieszczęśnika uwikłanego w genetykę, heraldykę, w operową politykę.

Od roli do roli, od przedstawienia do przedstawienia, Sezon Teatru Narodów trwa; będziemy go jeszcze opisywać. Niektóre z przedstawień zjadą do Krakowa Wrocławia, Poznania i Gdańska. Do Łodzi nie. ALBO MYŚMY COŚ PRZEGAPILI, ALBO KTOŚ NAS PRZEGAPIŁ.

U PRZYJACIÓŁ

Pełna, niejako oficjalna nazwa tej pięknej imprezy, która co roku odbywa się w wielu miejscowościach Kraju Rad — brzmi: Wszechzwiązkowe Puszkinowskie Święto Poezji. O idei i programie puszkinowskich obchodów mówi przewodniczący Komitetu Organizacyjnego, znany pisarz i ulubiony przez telewidzów gawędziarz — Iraklij Andronikow:

— „Każdy z nas obchodzi co roku swe urodziny. Gdy umrze ktoś wybitny, zasłużony dla narodu, czcimy jego pamięć podkreślając okrągłe daty. Ale jeśli chodzi o Puszkina, dzień jego urodzin obchodzimy co roku, ponieważ jest nie tylko genialnym twórcą, lecz ogromnie bliski sercom nas wszystkich. Dlatego puszkinowskie doroczne święto poezji jest rzeczywiście świętem ogólnonarodowym. Trzeba przypomnieć, że zwyczaj składania hołdu pamięci Puszkina datuje się od pierwszych lat władzy radzieckiej. W roku 1967 uroczystości te połączono ze świętem poezji. Od tego czasu uczestniczą w nim poeci wszystkich republik ZSRR, a poeci czterech kontynentów, wraz z nami odwiedzają miejscowości związane z życiem autora „Eugeniusza Oniegina", przede wszystkim Michajłowskoje, gdzie co roku brzmią strofy poezji puszkinowskiej i głosi się pochwałę i nieśmiertelność tych strof".

W roku bieżącym program Dni Puszkinowskich związany jest z inną, tak ważną dla narodu radzieckiego rocznicą — zwycięstwem nad faszyzmem hitlerowskim. W tym zwycięstwie miał swój udział i Aleksander Puszkin. Tomiki jego wierszy znajdowały się w plecakach żołnierzy idących w bój. Czytano je w okopach i ziemiankach, czerpiąc z nich siłę do przetrwania i wiarę w zwycięstwo. Tak więc w tegorocznym święcie znajdzie się wiele interesujących prelekcji o tematyce wojenno-patriotycznej. Z tematyki historycznej — szczególną uwagę zwróci się na związki Puszkina z dekabrystami z okazji 150 rocznicy zorganizowania przez nich powstania. „Byli moimi przyjaciółmi, braćmi i towarzyszami" — mówił o nich Puszkin.

* * *

Czasem trzeba posłużyć się statystyką, aby wyobrazić sobie rangę i rozmach imprezy. Chodzi o XXX Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Praska Wiosna", którego koncerty i spektakle przez więcej niż miesiąc wypełniały sale koncertowe, teatralne i liczne zabytki „Złotej Pragi" setkami melomanów z całego świata. Wystąpiło sześć czechosłowackich orkiestr symfonicznych poprowadzonych przez rodzimych i zagranicznych dyrygentów, takich jak: Serge Baudo (Francja), Erich Leinsdorf (USA), Arvid Jansons (ZSRR) i inne słynne czechosłowackie zespoły kameralne i doskonałe chóry zagraniczne — orkiestry, m. in. Filharmonię z Warszawy, Moskwy, Sofii i Wiener Symphoniker; wśród skrzypków artyści tej klasy, co Igor Ojstrach i Konstanty Kulka. Z wielu świetnych pianistów wymieńmy tylko: Arturo Benedetti-Michelangeliego i Światosława Richtera. Wielu śpiewaków z Anglii, Bułgarii i NRD.

Narodni Divadlo zaprezentowało nie tylko szereg oper Smetany, Dworzaka, Janaczka i Bohuslava Martinu, lecz i „Borysa Godunowa", ze światowej sławy bułgarskim basem Nikołajem Giaurowem w roli tytułowej oraz opery Mozarta, z których „Don Giovanni" wykonany został na tej samej scenie (Tylowe Divadlo), na której przeżywał swe prawykonanie pod batutą Mozarta.

Ten wielki Festiwal imponował znakomitym wykonaniem utworów mistrzów dawnych i współczesnych, zarówno czeskich i słowackich, jak i z innych krajów. Powodzeniem cieszyły się koncerty młodych muzyków, zorganizowane w salach zabytkowych pałaców i muzeów. Kilkadziesiąt utworów rodzimej muzyki, kilkaset z różnych krajów, 85 solistów z całego świata, uwzględnienie w programie rocznic: Scarlattiego, Vivaldiego, Ravela, Bizeta, Bartoka, Berga, Honnegera i innych, wszystko to świadczyło o przemyślanej koncepcji Festiwalu.

21 dni Festiwalu dowiodły, że Praga nazywana dawniej „konserwatorium Europy" nie tylko rozkochana jest w muzyce, lecz umie przekazywać ją w sposób jak najdoskonalszy, jednający tej zbliżającej narodu sztuce, nowe rzesze miłośników.

RFN

„HEŁM ROTTENFÜHRERA SS KUPIĘ PILNIE..."

Ostatnimi czasy obserwuje się w Republice Federalnej Niemiec coś w rodzaju „mody" na atrybuty III Rzeszy. Wydaje się książki opisujące życie i działalność „führera", sprzedaje płyty z nagraniami jego głosu, pocztówki z podobizną Hitlera, statuetki itp. itd. Przeróżni spekulanci robią na tym wcale niezły biznes głosząc przy tym, iż wzbudza to li tylko „nieszkodliwe oczarowanie" egzotyką przeszłości. Natomiast faktem jest, że sprzyja to odradzaniu kultu Hitlera, szczególnie wśród części młodzieży. Oto co pisze na ten temat zachodnioniemiecki publicysta Heinrich Jenecke, w artykule zamieszczonym na łamach hamburskiego tygodnika „Der Stern".

Młode sosenki w ciągu 30 lat przemieniły się w potężne drzewa kilkunastometrowej wysokości, a rozległa równina porosła wrzosami. Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że tak było tu zawsze, że rozrzucone niewysokie pagórki stworzyła sama natura, że są reliktami czasów przedhistorycznych, związanymi, być może, z kultami starożytności.

Po wrzosowym pustkowiu idzie grupa uczniów. Większość z nich nosi niebieskie dżinsy, niektórzy uczniowie mają na sobie pstre bluzy — znów zaczynają być modne. „Spójrz — orzeł!" — ktoś krzyczy. Zaczyna się spór: czy to jest orzeł czy jastrząb. Droga wiedzie obok pagórków. Nauczyciel mimochodem wskazuje na kamienną płytę. Widnieje na niej napis: „Tutaj spoczywają prochy tysiąca ludzi — kwiecień 1945 rok". Uczniowie milczą. Na drodze widzieli już sporo takich płyt. Wszystkie są jednakowe, tylko liczby są różne — dwa tysiące, trzy tysiące, pięć tysięcy...

30 lat temu był tutaj hitlerowski obóz koncentracyjny Bergen-Belsen. Angielski lekarz, Gleen Huse, który z wojskami Montgomery'ego jako jeden z pierwszych wkroczył do tego obozu, zapisał w notatniku: „W wielu miejscach trupy ułożone stosami różnych wysokości. Kanały ściekowe zapełnione trupami, w barakach także mnóstwo trupów, częstokroć na pryczach pospołu z umarłymi leżą półżywi ludzie. W najbardziej przepełnionych blokach, w pomieszczeniach na stu ludzi — stłoczono od 600 do 1000 więźniów".

Anglicy zawieźli samochodami pozostałych przy życiu więźniów z Bergen, na miejsca, gdzie przygotowano wspólne groby ofiar obozu, żeby pożegnali zamordowanych współtowarzyszy niedoli. Po 30 latach, tą samą drogą idzie szkolna wycieczka. Lekcja poglądowa na temat „Narodowy socjalizm i druga wojna światowa". 15-letni uczniowie stają u stóp pagórków porosłych wrzosem i mówią: „Tyle trupów na takim skrawku ziemi"...

Wszystko to zdarzyło się wiele lat przed ich urodzeniem. Nie odczuwają związku z tymi wydarzeniami niedawnej przeszłości, są one dla nich tak samo odległe, jak Napoleon. W nic nie wątpią, ale też i nie mogą sobie tego wyobrazić, nie dotyka to ich duszy. Podążając swoją drogą myślą o czym innym, zastanawiają się, co będą robić po obiedzie. Z poligonu NATO-wskiego w Bergen-Hohne dochodzą odgłosy artyleryjskiej kanonady. Stacjonują tam oddziały brytyjskie.

10 lat po śmierci Hitlera zachodnioniemiecki historyk, Golo Mann, pisał: „We wsi stoi przeklęty dom, dom zabójcy, dom, który mieszkańcy obchodzą z daleka, ale on wciąż stoi wśród ich domów. Takie miejsce w pamięci Niemców zajmuje III Rzesza — jak ściana oddzielająca rzeczywistość od reliktu przeszłości".

Dziś, po 30 latach od chwili zasypania wspólnych grobów, myśl Golo Manna nie odpowiada już prawdzie. W toku szumnej kampanii strącania z piedestałów przeróżnych tabu, znikł także strach przed zetknięciem się z „domem zabójcy". Mieszkańcy „wsi" już nie muszą go obchodzić. Połowa z nich i tak nie znała mordercy, a spośród młodych wielu — co nie wzbudza zdziwienia — uważa „stary dom mordercy" za bardziej romantyczny niż przerażający.

Z przeszłością skończono, ale nie tak jak to sobie wyobrażali ojcowie zachodnioniemieckiej demokracji powojennego okresu. Swastyka - symbol wojny, która kosztowała życie mnóstwo ludzi, stała się elementem nowej fali nostalgii za przeszłością, pewnego rodzaju uniesieniem, na podobieństwo modnej fascynacji murzyńskim jazzem czy starymi samochodami. Paraduje na okładkach książek, na obwolutach płyt gramofonowych, na pudełkach z modelami sprzętu wojskowego i na afiszach filmowych. Hitler pojawił się na rynku jako towar chodliwy.

W antykwariatach statuetka Hitlera, którą niegdyś ofiarowywano w dniu jego urodzin, członkom Hitlerjugend, kosztuje dziś około 500 marek. Wśród ogłoszeń w gazetach, w rubryce „Różne", poleca się książkę Hitlera „Mein Kampf", za którą dziesięć lat temu, nikt by nie dał złamanego grosza, a kolekcjonerzy nazistowskich pamiątek gotowi są „kupić natychmiast całkowity uniform i hełm rottenführera SS w dobrym stanie". Obrotni właściciele firmy „Dwa tysiące i jeden drobiazg — pocztą", idąc z duchem czasu, reklamują „historię ilustrowaną" na kartkach papieru, z których można wycinać małe figurki SS-owców, a pewien handlowiec z Landrinhausen (kraj Dolna Saksonia), ochoczo zabrał się do otwarcia kiosku na jarmarku dla gospodyń domowych w Hanowerze, z popiersiami Hitlera i dopiero interwencja prokuratora przeszkodziła mu w urzeczywistnieniu tego zamiaru.

Zachodni przemysłowcy filmowi już od dawna używają niemieckiego faszyzmu jako środka stymulującego ich sadystyczno-masochistyczne wytwory, ale nigdy jeszcze nie eksploatowano tak cynicznie tematu obozów koncentracyjnych, jak w pornograficznym filmie „Nocny portier", który w trzydzieści lat po Oświęcimiu nabija kasy także kin zachodnioniemieckich.

Na fali powszechnej kampanii zmierzającej do zniesienia wszelkich zakazów, bez ceregieli poczyna sobie rozgłośnia radiowa „West-Deutscher Rundfunk": w trzyczęściowym serialu telewizyjnym zaprezentowała ona „dokumentalny materiał" o formacjach SS. Całą część ilustracyjną (bez podania źródeł) zapożyczyła wyłącznie z propagandowych filmów nazistowskiej kroniki filmowej. Katolicki dziennik „Funk-Korrespondenz" pisał w związku z tym o „zadziwiająco nędznym fragmencie z życia SS-owskiego państwa", nazywając ten cały serial „filmem uniewinniającym".

Wojna jako przygoda i próba bohaterstwa stanowi główną treść niezliczonych publikacji, które od niedawna z powodzeniem konkurują z pornografią w kioskach Zachodnich Niemiec. Nawet poważne wydawnictwa w rodzaju „Motorbuch-Verlag" w Sztutgarcie i „Heineverlag" w Monachium zapewniają sobie znaczną część obrotów dzięki wydawaniu książek o wojnie i broni. Dyrektor wydawnictwa „Heineverlag", Schilling, mówi tak: „Sami dziwimy się takiemu powodzeniu. Sądziliśmy, że ta literatura zainteresuje ludzi pokolenia wojny, ale kupują ją głównie ludzie młodzi".

Na rynek młodzieżowy skierowano duży asortyment zabawek-modeli współczesnego uzbrojenia wojskowego, dosłownie — zalano zachodnioniemieckie sklepy z zabawkami. Cały hitlerowski Wehrmacht, poczynając od zmotoryzowanej piechoty dywizji „Gross Deutschland" i kończąc na czołgu typu „Tygrys" można skleić z elementów wykonanych z mas plastycznych.

Fabrykant Heinz Beringer z Norymbergi, mówi z dumą: „Ja pierwszy wykryłem tę lukę na rynku i zapełniłem ją wojskowymi samochodami i czołgami. Przedtem sprzedawano tylko samoloty i okręty". Złości się tylko na niektóre uparte firmy, które pryncypialnie odmawiają sprzedawania zabawek i modeli sprzętu wojskowego, tym bardziej z emblematami swastyki. Beringer, jak sam powiedział, wyrabia większość zabawek w Japonii. To właśnie on rzucił na rynek „führer-wagen" — „samochód führera", ozdobiony proporczykiem ze swastyką i wszystkimi innymi towarzyszącymi mu atrybutami, a zatem towar jawnie naruszający paragraf 86a kodeksu karnego (zakaz reprodukowania symboli narodowo-socjalistycznych).

Ale wielu sędziów nie bierze już poważnie tego paragrafu. Sąd krajowy we Flensburgu umorzył sprawę przeciwko właścicielowi piwiarni, który w swoim lokalu uroczyście obchodził „dzień urodzin führera" pod nazistowską flagą i z odśpiewaniem nazistowskiego hymnu. Dopiero dzięki interwencji prokuratury w wyższym sądzie krajowym Szlezwigu, sprawa weszła na wokandę, zresztą z rocznym opóźnieniem. Prokurator Andress Thimke powiedział korespondentowi „Sterna": „Prawodawcy chcieli, by nazistowskie emblematy na zawsze zniknęły z życia naszego społeczeństwa. Nie chcieli, by w naszych piwiarniach śpiewano faszystowski hymn. Nasza historia jest zbyt mroczna, żeby to tolerować."

Jednakże mało kto wypowiada się tak kategorycznie, jak ten stróż prawa z Flensburga. Wielu mieszkańców RFN nie zawstydza swastyka, a zachodnioniemiecki pisarz, Heinrich Bell nie był tak znów daleki prawdy mówiąc: „Obecnie nosimy nazizm nie w piersi, a na piersi".

Czy Republice Federalnej grozi odrodzenie idei narodowosocjalistycznej? Instytut Badania Opinii Publicznej w Allensbach przeprowadził wśród obywateli RFN badania na temat: „Jaki jest pana obecny stosunek do Hitlera?" Wyniki badań zażenowały nawet kierowniczkę Instytutu, Elizabeth Nelle-Neuman. „Były one dla mnie zupełnie nieoczekiwane" — powiedziała"... (C.D.N.)

Tłumaczył:
JERZY CZECH

■ 30-LECIE KARTY NZ
■ ECHA WIZYTY PREZYDENTA
■ SUKCES LEWICY WE WŁOSZECH

Wśród dat, mających ważne znaczenie dla światowego pokoju, jest również *26 czerwca*. Przed 30 laty w dniu tym w San Francisco podpisana została, wcześniej o dzień zaaprobowana jednomyślnie, *Karta Narodów Zjednoczonych*. 51 państw założycielskich Organizacji Narodów Zjednoczonych określiło jej cele zasady i główne organy. Przedstawiciel Polski — min. W. Rzymowski, składając podpis pod Kartą, zapewnił o współpracy naszego kraju z innymi członkami *„nad utrzymaniem pokoju świata i odbudową pomyślności i dobrobytu narodów"*. Temu zobowiązaniu pozostaliśmy wierni. Mógł więc sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim ocenić, że jesteśmy *„jednym z najbardziej aktywnych członków"*. Dokumentują to nie tylko nasz udział w pracach: Rady Bezpieczeństwa, której trzykrotnie Polska była członkiem, Rady Gospodarczo-Społecznej, komitetów i komisji oraz współprzewodnictwo i przewodnictwo sesji Zgromadzenia Ogólnego. Przede wszystkim taką ocenę uzasadnia polska inicjatywność, jej wkład w wypracowanie uchwał ONZ.

Trzydziestolecie Karty Narodów Zjednoczonych skłania do refleksji nad rolą ONZ w rozwijaniu i umacnianiu międzynarodowej współpracy. W owym okresie bywało różnie. Pierwotny układ sił w ONZ umożliwiał wykorzystywanie jej mechanizmu dla mocarstwowych interesów Stanów Zjednoczonych i innych państw zachodnich. Mechanicznie przegłosowywano rezolucje. Jednak w miarę, jak ONZ stawała się bardziej uniwersalną organizacją, kształtowała się nowa sytuacja. Teraz ONZ mogła już lepiej spełniać swą podstawową funkcję — wkraczać w obronie pokoju.

Nowego sensu nabrała działalność ONZ wtedy, kiedy wielkie mocarstwa, w pierwszej kolejności odpowiedzialne za zachowanie pokoju, zaczęły ze sobą współpracować. Od tego momentu datuje się korzystna zmiana — debaty stają się coraz bardziej owocne. Trudno zliczyć, ile przyjęto znaczących dokumentów w dziedzinie rozbrojenia, bezpieczeństwa, międzynarodowej współpracy na polu gospodarczym, naukowym i technicznym. Zresztą na nic tutaj zdałaby się statystyka, liczbami nie można wyrazić wkładu ONZ w proces odprężenia i zbliżenia narodów.

Organizacja Narodów Zjednoczonych — mówił w ub. roku z trybuny Zgromadzenia Ogólnego Edward Gierek — *„zrodziła się z dążenia do pokoju, do wolności i równości narodów, do przyjaznego współżycia i współpracy"*.

W październiku br. — w trzydziestolecie wejścia w życie Karty Narodów NZ — obchodzić będziemy trzydziestolecie Organizacji, która może poszczycić się dużym dorobkiem w łagodzeniu napięć i umacnianiu pokoju. A data, 26 czerwca 1945 roku jest dla działań w tym kierunku fundamentalną.

* ☆ *

Od tych rocznicowych rozważań przejdźmy do wydarzeń bieżących.

Wizyta prezydenta Francji — Valerego Giscard d'Estaing w Polsce *zakończyła się podpisaniem kilku dokumentów*, określających główne kierunki politycznej i gospodarczej współpracy polsko-francuskiej. Najważniejszymi z nich są: Karta Zasad Przyjaznej Współpracy między Polską i Francją, Deklaracja o zasadach i środkach rozwoju współpracy kulturalnej i naukowej, informacji oraz stosunków międzyludzkich między PRL i Republiką Francuską, a także Umowa 5-letnia o współpracy gospodarczej.

Rozmowy polsko-francuskie na najwyższym szczeblu odbiły się szerokim echem w prasie światowej. Komentatorzy oceniają je jako nie tylko milowy krok na drodze stosunków bilateralnych, lecz również jako wkład dwóch państw, dwóch różnych systemów w realizację idei Europejskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy.

Rozmowy toczyły się bowiem w okresie, kiedy *w Genewie zaznaczył się wyraźny postęp*. Dziś nie ma już wątpiących, że trzecia i ostatnia faza konferencji może odbyć się pod koniec lipca. A Polska i Francja swoimi wspólnymi postanowieniami określają wzorce współpracy, która powinna rozwinąć się między wszystkimi krajami naszego europejskiego kontynentu.

* ☆ *

Dużym sukcesem lewicy zakończyły się wybory regionalne we Włoszech. Włoska Partia Komunistyczna otrzymała 34% głosów, o blisko 6% więcej niż przed pięciu laty. Powiększyła także swój stan posiadania Partia Socjalistyczna — do 12% głosów. Z porażką wyszła natomiast z wyborów chadecja. Chociaż więc wybierano do rządów regionów i prowincji oraz komun — a te wybory nie wpływają bezpośrednio na sytuację rządu włoskiego — nie wyklucza się dymisji gabinetu Aldo Moro. Coraz powszechniejsze jest też żądanie ustąpienia Fanfaniego z funkcji przewodniczącego partii. Wszystko to razem może zapowiadać kryzys w łonie chadecji.

Wielu komentatorów pisze o nowej sytuacji we Włoszech, podkreślając, że przyszłość kraju niekoniecznie musi być związana z chrześcijańską demokracją. Zaznaczył się zwrot na lewo, w którym wyraża się oczekiwanie dużej części wyborców na reformy społeczne.

W. SŁAWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

GENEZA DRUGIEJ WOJNY

Wiemy o tym dobrze, że nowoczesna nauka historyczna, i to nie tylko w naszym kraju, w coraz większej mierze zwraca swoje zainteresowania w stronę badania struktur społecznych i ekonomicznych, że powoli staje się jak gdyby socjologią przeszłości. Czy jednak może i powinna zarzucić tradycyjne dla siebie, uświęcone wielowiekową tradycją, badania genetyczne? Czy historia może zrezygnować z udzielania odpowiedzi na pytania, jak i dlaczego doszło do takich bądź innych zdarzeń, poszukiwania korzeni dziejowych faktów, tropienia najdalszych nawet przyczyn wypadków historycznych? Wbrew nadziejom skrajnych strukturalistów historia zapewne tego nie uczyni, a nawet gdyby chciała, uczynić tego nie może, skoro jednym z jej naistotniejszych powołań społecznych jest właśnie genetyczno-przyczynowe wyjaśnianie dziejów, ustalanie, jak i dlaczego nastąpiły wielkie i mniejsze wydarzenia, które zaważyły na losach świata, kraju i narodu, które w mniejszej bądź większej mierze składają się na genealogię współczesności.

Kiedy zazwyczaj rozważamy wielkie problemy historii najnowszej, zastanawiamy się nad genezą II wojny światowej, poszukujemy odpowiedzi na pytanie, jak i dlaczego doszło do tego kataklizmu, największego w dotychczasowych dziejach ludzkości.

Literatury traktującej o tych sprawach — również w języku polskim — jest bardzo wiele i wciąż dochodzą do naszych rąk nowe publikacje. Autorami artykułów, broszur i książek nie są jedynie zawodowi historycy — piszą je byli i czynni jeszcze dyplomaci i wojskowi, niejednokrotnie wkraczają również ambitni publicyści, którym udało się nieraz dotrzeć do nie znanych materiałów, rzucających nowe światło na taki lub inny epizod, na takie bądź inne wydarzenia. Nie wiem, czy radziecki autor Igor D. Owsianyj, którego książkę „Tajemnice narodzin II wojny światowej" w polskim tłumaczeniu wydała „Książka i Wiedza" (1974), jest historykiem. Po jej przeczytaniu sądzę jednak, że jest obojętne, kim jest jej autor ze swej profesji, skoro rzecz okazała się interesująca, miejscami nawet pasjonująca, skoro podjęta przezeń próba popularnego, a jednocześnie wyczerpującego przedstawienia pasma wydarzeń, które złożyły się na genezę II wojny światowej, okazała się udana.

Mówię o paśmie wydarzeń, które złożyły się na genezę wojny: w książce tej chodzi właśnie o to, o przedstawienie polityki europejskiej, jej zakrętów, niejasności, ewidentnych błędów, tej polityki, która nie potrafiła zapobiec wybuchowi wielkiego konfliktu zbrojnego, która nie zdołała pohamować apetytów niemieckiego faszyzmu, nie umiała... zrealizować celów, w imię których była prowadzona. I. Owsianyj spogląda na wydarzenia polityczne, poprzedzające II wojnę światową, z szerokiej perspektywy. Nie koncentruje uwagi jedynie na polityce hitlerowskiej III Rzeszy, jak czyniło to wielu autorów, rozpatruje ją w kontekście uwarunkowań ogólnoeuropejskich. Opisuje i oskarża — oskarża burżuazyjne rządy Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych i innych państw, które mogły przyczynić się do pohamowania wydarzeń, zmierzających do katastrofy. Oskarża o to, że zamiast zająć się poważnie niebezpieczeństwem hitlerowskim, starały się je tylko odwrócić jak najdalej od siebie i popchnąć w inną stronę — na Związek Radziecki.

I. Owsianyj prowadzi więc czytelnika od zorganizowanej przez hitlerowców prowokacji podpalenia Reichstagu, 27 lutego 1933 r., przez zabójstwo króla Jugosławii Aleksandra i francuskiego ministra spraw zagranicznych Jean L. Barthou, 9 października 1934 r., w czym maczała swe palce hitlerowska agentura we Francji, po politykę „appeasement'u" czyli pobłażania w latach 1935—1936, wydarzenia bezpośrednio poprzedzające wybuch II wojny światowej — Anschluss Austrii, opanowanie Czechosłowacji, przygotowania do hitlerowskiej agresji na Polskę. Opowiada i ocenia, przytacza wiele faktów znanych i zapomnianych, dyskutuje, prowokuje do zajęcia własnego stanowiska.

Zapewne nie wszystkie poglądy i oceny spotkają się z powszechną aprobatą, wiele zaś pobudzi do dyskusji. I to chyba właśnie było zamierzeniem radzieckiego autora, który napisał książkę z pogranicza historii i publicystyki po to, aby przekonać do prezentowanych w niej racji, jak najszersze grono czytelników. Jedno zaś nie ulega wątpliwości, że fanatyczny antykomunizm, poglądy burżuazyjnych polityków różnych krajów, którzy uważali, że nie Hitler i faszyzm, ale prowadzący pokojową politykę Związek Radziecki, jest dla nich największą groźbą. Klasowo uwarunkowany światopogląd burżuazyjnych przywódców i polityków Anglii Francji i innych krajów — wbrew temu wszystkiemu, co pisze się dziś na świecie na ich obronę — otworzyły niemieckiemu faszyzmowi zielone światło dla realizacji jego zbrodniczych celów, że nie tylko nie pohamowały, lecz przeciwnie, zdopingowały faszyzm i upewniły go, co do realności jego zamierzeń. Świadectwa zebrane przez I. Owsianego przekonują o tym aż nadto dobitnie.

LEKTOR

WATERGATE (III)

TAJEMNICZY WYPADEK

Senator Edward Moore Kennedy, najmłodszy żyjący polityk ze słynnej rodziny, podobnie jak jego dwaj starsi bracia, również nie ma szczęścia. Nie bacząc na tragiczną śmierć Johna w 1963 roku i Roberta, gdy ten był prawie pewnym kandydatem na urząd prezydenta w USA w 1968 r., również on, „Ted", postanowił ubiegać się o najwyższą godność w państwie. Jego bezpośrednim celem miały być wybory 1972 roku. Był popularny, choć może nie tak, jak jego bracia, ale wśród kandydatów z ramienia partii demokratycznej jego szanse były największe. Były one równie duże, a kto wie czy nie większe, niż kandydata partii republikańskiej, urzędującego prezydenta, Richarda Nixona. Ale jak już wspomniano, jego także prześladował pech. Jeszcze w maju 1964 roku „Ted" Kennedy padł ofiarą tajemniczego wypadku, którego omal nie przypłacił życiem lub trwałym kalectwem. Jego prywatny samolot uległ katastrofie, pilot i osobisty sekretarz zginęli na miejscu, zaś Kennedy długie miesiące przeleżał w szpitalu, a później w klinice rehabilitacyjnej i tylko niezwykle silnej woli zawdzięczał swój powrót do zdrowia. Przyczyny tego wypadku nigdy nie zostały wyjaśnione.

Poza tym padał często ofiarą złośliwych plotek na temat swego stylu życia, nieco swobodnego. Przy pomocy tych plotek jego przeciwnicy polityczni starali się zdyskredytować jego osobę, jako senatora i ewentualnego przyszłego kandydata na prezydenta. Mimo to popularność, jaką się cieszył w społeczeństwie, była bez porównania większa niż jakiegokolwiek innego amerykańskiego polityka. Toteż nic dziwnego, iż wielu uważnych obserwatorów amerykańskiej sceny politycznej właśnie w nim upatrywało groźnego konkurenta prezydenta Nixona w wyborach 1972 r., a niektórzy widzieli w nim nawet zwycięzcę. Nie mogła zatem osoba Edwarda Kennedy'ego ubiec czujnej uwadze polityków z partii republikańskiej, przygotowujących już w 1969 roku grunt wyborczy swojemu przedstawicielowi. Pozycja senatora ze stanu Massachusets stawała się, z dnia na dzień, silniejsza. Nikt prawie nie miał już wątpliwości, że wybory 1972 roku będą ciężką próbą dla Nixona. I oto w momencie szczytu powodzenia i popularności Kennedy'ego dochodzi do fatalnego w skutkach, dla jego kariery politycznej, wypadku.

Oto w nocy z 18 na 19 czerwca 1969 roku — jak podały oficjalne źródła amerykańskie — w letnim domku na wyspie Chappaquiddick, leżącej opodal większej wyspy Martha Vineyard (stan Massachusets) odbywało się bardzo wesołe przyjęcie z udziałem Kennedy'ego i członków jego przyszłego komitetu wyborczego. Około godziny 23 Edward Kennedy wraz z Mary Jo Kopechne, 27-letnią osobistą sekretarką, opuścił wesołe towarzystwo, aby odwieźć swoją towarzyszkę do hotelu na Martha Vineyard Island. Podczas przejazdu przez drewniany most, łączący obie wyspy, samochód „Teda" wpadł w poślizg, uderzył w barierę mostu i runął do morza. „Tedowi" udało się uratować z zatopionego auta, Mary jednakże poniosła śmierć.

Po wypadku Edward Kennedy powrócił do domu, gdzie odbywało się przyjęcie i wraz z przyjaciółmi pojechał na most — miejsce tragedii, ale losu Mary Kopechne nie można było już odmienić. Dziesięć godzin upłynęło od chwili wypadku zanim wreszcie Kennedy stawił się na posterunek policji. Swoją zwłokę tłumaczył szokiem, jakiego doznał wskutek wypadku, a który to szok uniemożliwił mu jakoby wszelkie działanie.

Tyle źródła oficjalne. W kwietniu 1970 roku, na sesji sądu rozpatrującego sprawę senatora, Kennedy pozostał przy swojej wersji, przedstawionej policji. Wyrok, jaki zapadł przeciw niemu, opiewał karę dwóch miesięcy więzienia z zawieszeniem i odebranie prawa jazdy na rok. Był to niewątpliwie smakowity kąsek dla całej brukowej prasy, toteż wszystkie gazety łapczywie się nań rzuciły. Głównym argumentem, na którym się opierały, wysuwając zarzuty przeciw Kennedy'emu, była sugestia, iż człowiek, który przez dziesięć godzin znajdował się pod wpływem szoku paraliżującego jego działania, nie daje gwarancji skutecznego sprawowania tak odpowiedzialnego urzędu politycznego, jakim jest prezydentura. Niektóre czasopisma posunęły się w tych oskarżeniach jeszcze dalej, wręcz przedstawiając Kennedy'ego, jako mordercę, który w tak wyrafinowany sposób pozbył się swojej kochanki i to będącej na dodatek w ciąży.

Tą kampanią zniesławień miano nadzieję zapobiec sytuacji, w której jeszcze jeden Kennedy mógłby zająć miejsce na fotelu prezydenta USA. W owych dniach faktycznie wyglądało na to, iż szanse Edwarda Kennedy'ego na ubieganie się o ten urząd zostały raz na zawsze przekreślone. Ale po kilku miesiącach senator zaczął odzyskiwać utraconą popularność, a wokół jego osoby znów gromadzili się liczni zwolennicy. Przyczyną tego były mianowicie pewne fakty, które akurat ujawniono, a które w zupełnie innym świetle przedstawiły obraz tego, co wydarzyło się na moście między Chappaquiddick a Martha Vineyard.

Przede wszystkim wątpliwości wzbudził charakter obrażeń, jakie Kennedy odniósł tej nocy, a zwłaszcza rany na głowie i karku. W biuletynie lekarskim sporządzonym zaraz po wypadku przez dwóch lekarzy, było stwierdzone pod przysięgą, iż obrażenia te bynajmniej nie zostały odniesione w czasie „koziołkowania" samochodu wpadającego do morza, lecz wskutek kilku silnych uderzeń. Z kolei podczas autopsji zwłok Mary Kopechne na jej bluzce znaleziono ślady krwi, które, jak orzekli specjaliści, znalazły się tam, zanim jeszcze samochód stoczył się do morza. Jeszcze inny ekspert stwierdził, iż w tym położeniu, w jakim znaleziono samochód pod mostem, siedzący w jego wnętrzu nie byliby w stanie sami się uwolnić, a przecież Edward Kennedy rzekomo tego dokonał.

Wreszcie przeważyło szalę oświadczenie szeryfa, który około północy, a zatem w godzinę od oficjalnie stwierdzonej chwili wypadku, przejeżdżał przez most swym samochodem w kierunku Chappaquiddick. Tuż za drewnianym przejazdem, już na Chappaquiddick Island, zobaczył on samochód, który wyglądał jak wóz po wypadku, dostrzegł również w blasku reflektora połowę tablicy rejestracyjnej, której znaki wskazywały na to, iż auto należy do Kennedy'ego. Samochód ten stał na poboczu drogi, tuż przy moście. Szeryf zatrzymał więc swój wóz, aby przyjrzeć się z bliska temu podejrzanemu obiektowi, ale w tym momencie ów samochód stoczył się do morza. Zanim jednak to nastąpiło, szeryf dostrzegł dwóch ludzi, którzy siedzieli na przednich siedzeniach oraz, jak mu się wydawało, jeszcze kogoś, kto leżał bezwładnie z tyłu samochodu.

Na podstawie wszystkich tych faktów eksperci zrekonstruowali przebieg tragedii, który ich zdaniem był następujący: Co najmniej dwóch ludzi czatowało w ukryciu, niedaleko domu, gdzie odbywało się przyjęcie. Gdy „Ted" i Mary opuścili wesołe party i udali się samochodem na Martha Vineyard Island, ludzie ci zajechali im swoim wozem drogę w pobliżu mostu, obezwładnili i pobili oboje do nieprzytomności, a następnie umieściwszy ciało młodej kobiety w tylnej części samochodu zepchnęli go do morza, czego świadkiem był szeryf. Po wyciągnięciu samochodu spod mostu stwierdzono, iż Mary Kopechne rzeczywiście leżała na tylnym siedzeniu.

ANDRZEJ BLAJER

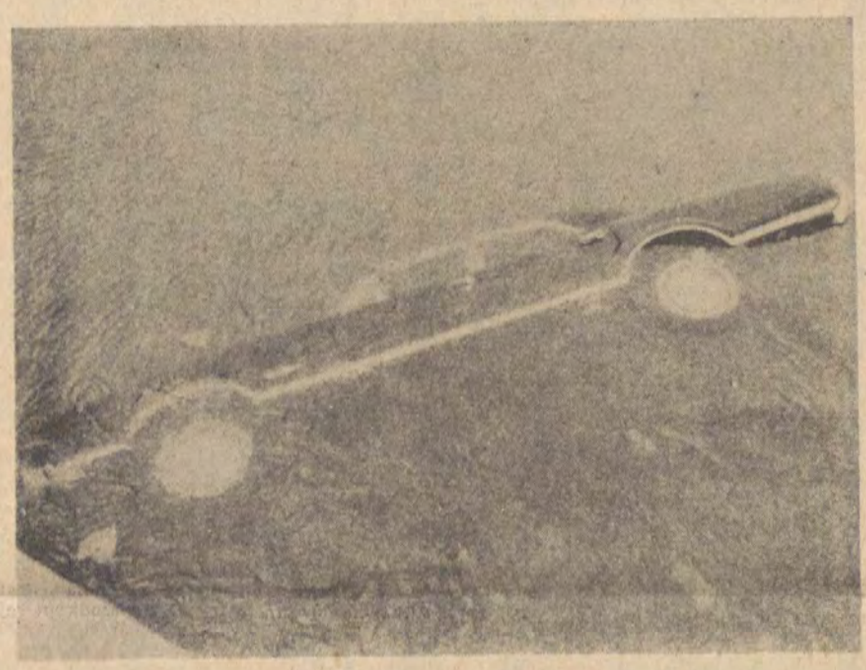

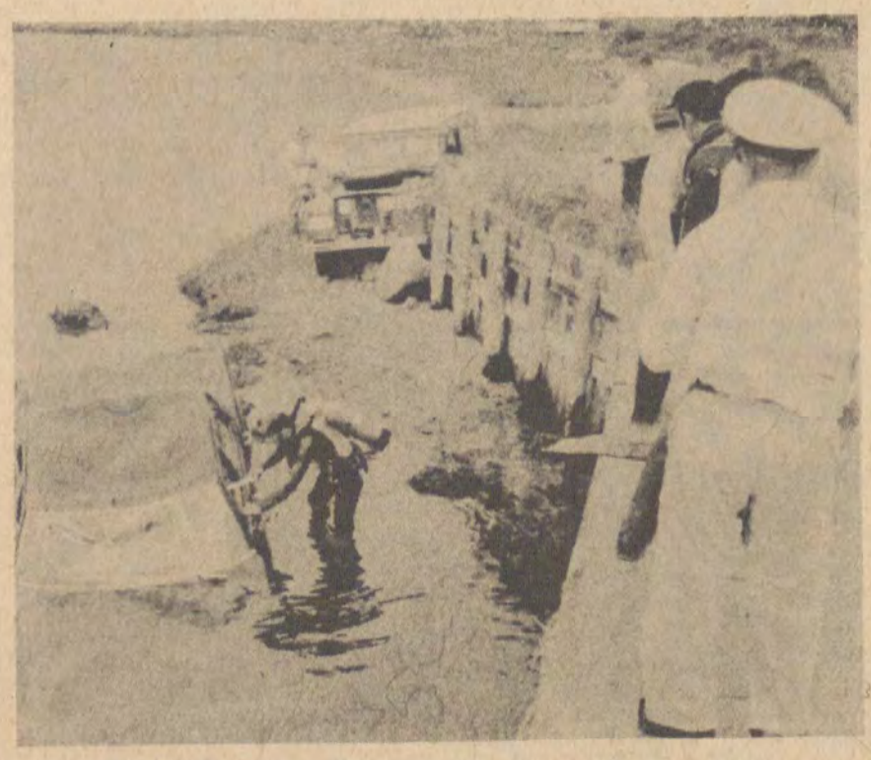

Fot. Archiwum

Tymczasem Kennedy'ego zmusili oni do milczenia o tym, co się na prawdę wydarzyło, najprawdopodobniej pod wpływem bardzo przekonywającej groźby — utraty przezeń życia. Tak narodziła się wersja przebiegu wypadku, którą Kennedy przedstawił na posterunku policji i w sądzie, a którą uznano za oficjalną. Edward Kennedy, pamiętając doskonale los, jaki spotkał obu jego braci oraz swoją katastrofę lotniczą w 1964 roku, wolał dokonać samooskarżenia się i uniknąć tym samym nowego, być może ostatniego zamachu na swoją osobę.

Wyjaśnienie niedorzeczności, jakie kryły się w oświadczeniu Kennedy'ego, dokonane przez dziennikarzy i wspomniane nowe fakty skłaniają do przypuszczeń, iż w ten właśnie sposób ludzie organizujący nową kampanię wyborczą kandydata republikańskiego, Nixona, usunęli z koła jego rywali, najgroźniejszego z nich. Aby jednak ostatecznie „wysadzić go z siodła", republikański sztab wyborczy musiał zainscenizować jeszcze coś nowego. E. Howard Hunt, jeden z tych, na których spoczywała główna odpowiedzialność za włamanie do Watergate, otrzymał jeszcze przed tą akcją polecenie wypożyczenia z FBI i z archiwum Departamentu Stanu około 240 dokumentów w celu ich sfałszowania przede wszystkim poprzez zmianę nazwisk, a następnie przekopiowanie ich na użytek prasy. Celem akcji miało być zniesławienie imienia prezydenta Johna Kennedy'ego, aby w ten sposób rzucić cień na rodzinę Kennedych, a zwłaszcza, aby poważnie osłabić pozycję Edwarda. Ze spreparowanych przez Hunta dokumentów wynikało na przykład, iż to nie CIA, ale osobiście John Kennedy był odpowiedzialny za zamordowanie byłego dyktatora Wietnamu Południowego, Diema. Prócz tego Hunt sfabrykował „dokumentację" o „Tedzie" i Mary Kopechne, idącą w swych „oskarżeniach", skierowanych przeciw Kennedy'emu znacznie dalej, niż „oficjalna wersja" z lat 1969—70.

Fakty te, związane z pracą zleconą Huntowi, ustalili Carl Bernstein i Bob

Woodward, którzy uzyskali je od jego sekretarki i bibliotekarki Białego Domu. Jeden z urzędników Białego Domu powiedział poufnie Woodwardowi, iż Huntowi zadanie to zlecił wymieniany już poprzednio członek sztabu wyborczego republikanów — Colson. Zapytany z kolei oficjalnie, urzędnik ten oczywiście zaprzeczył wszystkiemu, włącznie z tym, iż Hunt wypożyczał jakiekolwiek materiały z biblioteki Białego Domu.

Tak oto, dzięki podstępowi, morderstwu i włamaniom — „Tricky Dick" (przezwisko Nixona kryjące aluzję do jego licznych, brudnych tricków), w pewnił sobie ponowne zwycięstwo w wyborach 1972 roku, zwycięstwo, które w niespełna dwa lata później miało okazać się jego klęską.

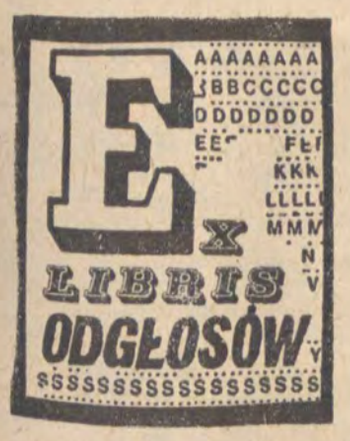

MAŁPI ZAMEK

Jerzy Górzański znany jest z bardzo interesującej twórczości poetyckiej, wydał kilka tomów wierszy bardzo dobrze przyjętych przez krytykę. Ale poeta uprawia również inne gatunki literackie — oprócz felietonistyki, próbuje sił w satyrze i grotesce, z bardzo ciekawymi rezultatami.

Debiutem prozatorskim Górzańskiego jest książka pt. „Małpi zamek".

Czytelnicy „Szpilek" większość tych tekstów znają — są to utwory atakujące różne konwencje i konwenanse obyczajowe, myślowe stereotypy i banały językowe.

Na skrzydełku obwoluty „Małpiego zamku" znajdujemy rekomendację, iż Górzańskiego uważa się za „przedstawiciela nowej fali satyry". Nie wiadomo dokładnie, co to znaczy, myślę zresztą, że tego rodzaju cenzurka nie jest autorowi potrzebna. Po pierwsze dlatego, że bez trudu można znaleźć rodowód tych grotesek — dość stary i szacowny. Po drugiej zaś jest to po prostu dobra literacka robota, nie wymagająca przypisywania do żadnej „fali" — nowej czy starej. Chyba, że rekomendacja odnosi się do wieku autora, co też jest wątpliwe, ponieważ Górzański zdążył już przekroczyć trzydziestkę.

Jerzy Górzański „Małpi zamek", Czytelnik, cena 14 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WSPOMNIENIA Z POŻÓŁKŁEJ GAZETY

Znajomy przyniósł mi dwa egzemplarze gazety „Nowy Kurier Warszawski" z wiosny 1940 roku. Sprzed trzydziestu pięciu lat.

Choć minęło już 30 lat od zakończenia wojny to jednak wciąż wspominamy tamte lata. Wróćmy więc na chwilę i do tamtych gazet — nie polskich przecie, choć pisanych po polsku. Ale Polacy natychmiast ochrzcili je mianem gadzinówek, a na krakowskiego „Gońca" mówiono „Podo-goniec".

Wielka to prawda, że po latach najdokładniej i najpełniej o codziennym życiu miasta czy kraju dowiedzieć się można właśnie z gazety. Nawet z gazety tak cenzurowanej i tak fałszującej rzeczywistość, jak „Nowy Kurier Warszawski" z 1940 roku.

Sobota, 11 maja 1940. Numer „gadzinówki" ma 18 stron, ale... tylko sześć stronic tekstu. Pozostałe dwanaście kolumn to ogłoszenia. I z nich wyczytać można najwięcej

„Udzielę lekcji konwersacji niemieckiej za obiady" — „Ziemianin z łomżyńskiego, lat 59, prosi o pracę za życie" — „Student poszukuje jakiejkolwiek pracy"...

Albo w dziale „Sprzedaż": **„łóżeczko dziecinne, kilim — sprzedam" — „Tapczan, łóżko z siatką sprzedam niedrogo" — „Suknię ślubną, pantofle — sprzedam"...** Ileż tragedii, ileż losów ludzkich kryje się za tymi krótkimi inseratami.

Czyjś narzeczony poległ we wrześniu, czyjeś dziecko zabiła bomba w czasie oblężenia Warszawy, ktoś nie wrócił z wojny, ktoś zginął... A żyć trzeba.

Więc już powstaje siatka handlarzy żerujących na ludzkim nieszczęściu. I wśród tych tragicznych ogłoszeń odnajduję i takie: **„Kupuję garderobę męską, damską, bieliznę, obuwie używane".** Ale to plotka okupacyjnego handlu. Obok ogłaszają się rekiny: **„Złote przedmioty, obrączki — kupuję. Dobrze zapłacę" — „Obrączki, pierścionki kupuję" — „Kupuję biżuterię, dywany, różne przedmioty"...**

Setki, setki ogłoszeń, trudno je zliczyć... Spróbowałem jednak. Ta posępna lista rosła i rosła. W jednym tylko sobotnim numerze „gadzinówki" z 11 maja 1940 r. naliczyłem — aż nie do wiary! — prawie dwa i pół tysiąca ogłoszeń drobnych, których próbkę przedstawiłem powyżej.

Dwa i pół tysiąca ludzkich spraw z samego środka okupacyjnej nocy, z samego wnętrza miasta.

Oczywiście nie liczyłem dużych ogłoszeń handlowych, lekarskich oraz anonsów w rodzaju: **„Cafe „Adria" — żywe słowo w języku polskim, występy czarodzieja i człowieka krokodyla...".** Po wyzwoleniu tym wszystkim „czarodziejom" występującym w hitlerowskich knajpach, Związek Artystów Scen Polskich odebrał prawa występowania.

Czytajmy jednak dalej: **„Zrzeszenie Artystów — Niebieski Motyl" ogłaszało się wielkimi literami, że wystawia komedię „Prawdziwa miłość", rewię „Wola się bawi" oraz „Dla ciebie, Warszawo"...** Co za perfidna ironia! Ale pod ogłoszeniem malutką czcionką widniał napis, który przypominał o rzeczywistości okupacyjnej: **„Koniec przedstawień przed 8 wieczorem zapewnia powrót do domu".**

No tak, po „dwu godzinach bezustannego śmiechu" w teatrze „Niebieski Motyl" — ubawiony widz miał gwarancję, że nie zostanie zastrzelony po godzinie policyjnej.

Jeszcze się ogłaszało „żywe słowo w języku polskim", a już na sąsiedniej szpalcie Komisaryczny Zarządca Związku Księgarzy wzywał **„wszystkich handlujących książkami oraz prowadzących czytelnie i wypożyczalnie książek do obowiązkowego zgłoszenia swych przedsiębiorstw".** Tak się zaczynała powolna likwidacja polskiego słowa. Nieudana zresztą nigdy.

Myślę więc, że warto było przez moment pochylić się nad tą gazetą sprzed 35 lat, aby w trzydzieści pięć lat po wojnie przypomnieć tamtą noc okupacyjną i tamte bolesne sprawy, które zakończyły się salwą pod Bramą Brandenburską.

WIDOK

PROPOZYCJE

ZAMIAST czy OBOK

Różne formy prezentacji nowych województw, jakie zostały utworzone 1 czerwca 1975 roku, spotykają się z wielkim zainteresowaniem. Każdy chce wiedzieć, jaki teren obejmuje nie tylko województwo, w którym mieszka, żyje i pracuje, jaki posiada ono potencjał produkcyjny i jakie miejsce zajmuje na mapie kraju. Jest to zainteresowanie ze wszechmiar pożyteczne, pozwala bowiem odświeżyć wiadomości z geografii Polski, szerzej zainteresować się sprawami całego kraju, a nie tylko najbliższego regionu. Tym też tłumaczy się popularność, z jaką przyjęto ukazanie się nowej mapy Polski. Dla tych, którym nie starczyło pierwszego wydania nowej mapy, musi wystarczyć jej reprodukcja opublikowana przez „Życie Warszawy".

W tym opisywaniu nowych województw zdarzają się też rzeczy wielce zabawne. Oto ukazujący się w stolicy nowego województwa regionalny periodyk, chwali się nagle, że nowe województwo posiada... 6 km linii tramwajowej oraz wytwórnię filmową. Powodów do dumy znów nie ma z tego powodu aż tak wiele, gdyż linia będzie rozebrana, a autobusy zastąpią tramwaje. Natomiast wytwórnia filmowa tylko formalnie znajduje się na terenie tego województwa, gdyż jej ośrodek dyspozycyjny związany jest ze środowiskami dwu innych miast, pracując zarówno na potrzeby kraju, jak też sprzedając filmy zagranicznym odbiorcom.

Ten przykład lokalnego patriotyzmu byłby może i zabawny, gdyby nie znamionował starego sposobu myślenia. To przecież do niedawna każde niemal województwo wszystko, co tylko możliwe chciało mieć u siebie, działając bardziej w wyniku rozbudzonych ambicji, niż z rzeczywistych potrzeb i w oparciu o faktyczne możliwości. Takie tendencje doprowadziły między innymi do tego, że w wielu miastach powstały wyższe uczelnie, do których wykładowcy dziś jeszcze dojeżdżają z innych ośrodków akademickich.

Przed takimi tendencjami, przed takim sposobem myślenia przestrzega **KTT** na łamach **„Kultury"** w felietonie pt. **„Wreszcie uwierzmy mechanizmom!".** Uważa on, że w 32 nowych województwach władze uświadomią sobie pewnego dnia, że **„poziom ich zaopatrzenia w obiekty kulturalne jest niższy niż ten, który kojarzył się dotychczas z pojęciem miasta wojewódzkiego".**

„I nie ulega dla mnie kwestii — pisze KTT — **że w tej sytuacji Minister Kultury i Sztuki stanie się adresatem setek próśb, nalegań i wniosków, aby tu wybudować nową filharmonię, tam teatr, ówdzie zaś założyć wyższą uczelnię artystyczną albo zafundować regionalne wydawnictwo".**

Trudno nie zgodzić się z taką obawą, jeśli się przyjmie, że stary sposób myślenia zostanie przeszczepiony na nowy grunt, do nowych warunków działania i zacznie owocować inicjatywami płynącymi z nadmiernie rozbudzonych ambicji. Byłoby to zaprzeczeniem istoty dokonywanej reformy, której sens polega przecież między innymi i na tym, że ma ona sprzyjać zerwaniu z partykularyzmem na korzyść myślenia w kategoriach kraju. Oparcie podziału administracyjnego na wykształconych i rozwijających się regionach gospodarczych, ma sprzyjać silniejszemu wiązaniu ich z całą gospodarką. Siła i rola każdego regionu powinna być dostrzegana przez pryzmat jego znaczenia w ogólnonarodowej gospodarce. Z tej przesłanki wynikają też określone wnioski dla rozwoju kultury w tych regionach.

KTT proponuje więc, aby zaniechać poszukiwania rozwiązań starego typu i wybrać drogę **„prostszą, nowocześniejszą i bardziej skuteczną, preferującą kontakt ze sztuką i kulturą pierwszorzędną".** Jest to **„droga zaufania środkom rejestracji i komunikacji mechanicznej".** I znów trudno z KTT nie zgodzić się, tym bardziej, że dodaje on w zakończeniu felietonu:

„Oczywiście, że ambicje i możliwości poszczególnych regionów mogą zwłaszcza z czasem, okazać się wyższe i iść w stronę własnej twórczości artystycznej".

Jest to budująca przyszłość, chociaż nie bardzo wiadomo, kiedy to nastąpi. Do tego czasu zaufajmy środkom rejestracji i komunikacji mechanicznej. Ale sam KTT przyznaje, że aby tak się stało, trzeba rozbudować przemysł płyt gramofonowych, aparatur muzycznych, sieć kin, zwiększyć produkcję kopii filmowych, drukować więcej książek w popularnych wydaniach, rozwinąć sieć bibliotek i czytelni. Potrzeba więc czasu, aby **„droga zaufania środkom rejestracji i komunikacji mechanicznej"** przyniosła oczekiwane rezultaty. A co przez ten czas?

Boję się, aby przez ten czas nie wylano dziecka wraz z kąpielą, co u nas już wielokrotnie czyniono. Boję się, aby w poszukiwaniu nowej drogi, nie zaprzepaszczono kulturalnego dorobku poszczególnych regionów, nie zmarnowano wielu cennych inicjatyw. Rodziły się one przecież nie tylko w stolicy i trwale zapisały się na kulturalnej mapie kraju. Przypomnę tylko, że tak ostatnio chwalony przez prasę warszawską teatr Aliny Obidniak, działający w Jeleniej Górze — dziś mieście wojewódzkim, a wziął się nie z tego, nie z owego, tylko wyrósł na gruncie wieloletnich inicjatyw kulturalnych tego regionu. I takich przykładów można byłoby znaleźć więcej.

Myślę, że propozycja KTT, aby kulturę rozwijać **„drogą zaufania środkom rejestracji i komunikacji mechanicznej"** jest propozycją, która powinna być realizowana **obok** tego, co jest żywe w kulturze kraju, a nie zamiast. Z tego jednak wcale nie wynika, że jestem np. za budową filharmonii w Suwałkach. Przeciwnie. Jestem jednak za tym, aby przy okazji unowocześniania struktury życia kulturalnego kraju, nie zniszczyć tego wszystkiego, co jest w niej cenne, co stanowi o jej wartości, a co niekoniecznie musiało powstać w Warszawie czy Krakowie.

KTT zastrzega się, że swoim tekstem naraża się ludziom, **„którzy chcąc dobrze dla swoich regionów nie mieli czasu dokładnie o tym pomyśleć".** Tymczasem ludzie ci, siedzą po kilku przy jednym biurku, urzędują w ciasnych i czasami zupełnie nieprzystosowanych pomieszczeniach, zajmując się organizacją nowej władzy, nie mają czasu na myślenie o budowie filharmonii w Suwałkach, ani wydawnictwa w Koninie. Natomiast silne kulturalnie ośrodki powinny pomyśleć jakby tu — w ramach istniejących możliwości — pomóc słabszym, jak dotrzeć do nowego odbiorcy. Podejrzewam, że KTT też dokładnie nie miał czasu pomyśleć o konsekwencjach swojej — słusznej skądinąd — propozycji.

MARCIN RODAK

HIPOTEZY (XVI)

ERICH von DÄNIKEN

KSIĘGA „DZYAN"

Nikt nie zna prawdziwego wieku księgi DZYAN: mówi się, że jej oryginalna wersja jest starsza niż wiek ziemi. Była ona też podobno tak silnie namagnesowana, że wybrańcy, którzy brali ją do rąk widzieli opisane w niej wypadki, jak gdyby rozgrywały się na ich oczach i potrafili zrozumieć tajemnicze teksty dzięki rytmicznie odbieranym impulsom, jeśli tylko ich własny język posiadał dostatecznie bogate słownictwo. Przez całe tysiąclecia ta, dostępna jedynie wybranym wiedza była pilnie strzeżona w świątyniach tybetańskich, ponieważ uważano, że tajemnicze nauki zawarte w księdze mogłby być wyjątkowo niebezpiecznym narzędziem w rękach niewłaściwych ludzi. Tekst pierwotny (nie wiadomo czy jeszcze gdziekolwiek jest zachowany) był przez pokolenia przepisywany słowo po słowie i uzupełniany przez wybrańców nowymi opowieściami i nową, nabytą przez nich wiedzą.

Często opowiadano mi w wielu krajach o naukach zawartych w tej księdze lecz nigdy nie udało mi się spotkać kogokolwiek, kto widziałby sama księgę. Fragmenty księgi DZYAN które się zachowały rozchodzą się po świecie w tysiącach tekstów przetłumaczonych na język sanskrytu. Według wszelkich relacji ta niezwykła, tajemnicza doktryna ma zawierać pierwotne, przedwieczne słowo, tajemnicę stworzenia i ma opowiadać o ewolucji ludzkości w ciągu milionów lat.

Siedem strof o stworzeniu według księgi DZYAN zawiera tyle interesujących szczegółów, że przytoczę tu ich fragmenty.

STROFA I

Czasu nie było, bo spoczywał pogrążony we śnie w nieskończonym łonie trwania...

Jedynie ciemność wypełniała bezkresną wszystkość...

A życie pulsowało nieświadomie w przestrzeni wszechświata.

Siedmiu wzniosłych mężów i siedem prawd przestało istnieć...

STROFA II

Gdzie byli budowniczowie synowie światła... Twórcy kształtu z bezkształtności — korzenie świata?...

Godzina jeszcze nie wybiła: promień jeszcze nie padł z błyskiem na zarodnię...

STROFA III

Ostatnie drganie siódmej wieczności przebiega przez nieskończoność.

Drganie to mknie, omiatając szybkim swym skrzydłem cały wszechświat i zarodnie, która drzemie w ciemnościach — tych ciemnościach, których tchnienie otacza drzemiące wody życia...

Korzeń życia był w każdej kropli oceanu nieśmiertelności, a ocean jarzył się światłem, które było ogniem, ciepłem i ruchem. Ciemność zniknęła i już nie wróciła...

Patrzajcie... jasna przestrzeń, syn ciemnej przestrzeni... Ten świeci jako słońce; on jest płonącym boskim smokiem mądrości.

Gdzie była zarodnia i gdzie teraz jest ciemność?...

Zarodnia, to to, a to jest światłem, jasnym, błyszczącym synem ciemnego, ukrytego ojca.

STROFA IV

Słuchajcie wy, synowie Ziemi, swoich nauczycieli, synów ognia...

Nauczcie się tego, co my, którzy pochodzimy od przedwiecznych siedmiu, my, którzy zrodziliśmy się z pierwotnego płomienia nauczyliśmy się od naszych ojców.

Z promienności światła — promienia wszechciemności — wybiegły w świat obudzone na nowo energie... A z boskiego człowieka wydzieliły się kształty, iskry, święte zwierzęta i posłańcy świętych ojców.

STROFA V

Pierwsze siedem tchnień smoka mądrości wytwarza z kolei z wirujących wkoło tchnień gorejącą trąbę gazów.

Chyży syn boskich synów... biega koliście, wykonując swoje zadania... Przechodzi jako błyskawica poprzez gorejące chmury...

On jest ich duchem przewodnim i wodzem. Kiedy zaczyna swą pracę oddziela od siebie iskry niższego królestwa, które unoszą się radośnie w swych promiennych siedzibach...

STROFA VI

Ten, który jest chyży i promienny... osadza wszechświat na wiecznych fundamentach...

Buduje je na podobieństwo starszych kół, umieszczając je na niezniszczalnych osiach...

Jak zbudował je Fohat? Zebrał gorejący pył, poczynił z niego kule ogniste, przebiegał przez nie i wokół nich, sącząc w nie życie i wprawiając je w ruch... Jeśli były zimne, czynił je gorącymi. Jeśli były suche, napełniał wilgocią. Jeśli świeciły, ochładzał je. Tak czyni Fohat od świtu do świtu, przez siedem wieczności.

Nasienie matki wypełniło wszystkość. Były bitwy toczone między stwórcą i niszczycielami i bitwy toczone o przestrzeń.

STROFA VII

Patrzajcie na początek odczuwającego bezkształtnego życia. Najprzód ów boski duch z matki...

Jeden promień rozmnaża mniejsze promienie...

Potem, budowniczowie, wdziawszy swe pierwsze szaty, zstępują na promieniejącą Ziemię i panują nad ludźmi, którzy są jak oni sami."

Ten mit o stworzeniu naprawdę nie wymaga dalszego komentarza dla wykształconego czytelnika. Jest rzeczą niesamowitą to, że znaczenie tych tekstów wyjaśnia się naprawdę dopiero teraz, w wieku podróży kosmicznych. Kilka jedynie pojęć wymagać będzie wyjaśnienia.

Wieczna matka = **przestrzeń kosmiczna.**

Siedem wieczności = **eony lub okresy. Wieczność, jak ją pojmuje teologia chrześcijańska, jest bez sensu w filozofii azjatyckiej. Jeden eon jest bardzo długim okresem czasu, liczy sobie mianowicie 100 lat Brahmy lub też 311 040 000 000 000 lat ziemskich. Jeden dzień Brahmy składa się z 4 320 000 000 lat zwykłych śmiertelników. Brahma jest tą siłą, która tworzy i zachowuje wszystkie światy. Chciałbym przypomnieć tu czytelnikom o prawie rozciągliwości czasu (teoria względności), bez zastosowania którego, te wyliczenia czasowe są nie do pomyślenia.**

Czas = **następstwo stanów świadomości.**

Przestrzeń = **materia.**

Światło = **coś niewyobrażalnego, ponieważ nie znane jest jego źródło.**

Ojciec i matka = **męska i żeńska zasada odwiecznej natury.**

Siedmiu wzniosłych mężów = **siedem duchów twórczych.**

Budowniczowie = **prawdziwi stwórcy wszechświata lub systemu planetarnego.**

Tchnienie = **bezkresna przestrzeń.**

Promień = **materia w jądrze świata.**

Ostatnie drganie siódmej wieczności = **okresowo zachodzące zjawisko pojawiania się świadomości.**

Synowie Ziemi — synowie ognia = **siły kosmiczne, które oblekły się w kształt.**

Fohat = **konstruktywna siła energii kosmicznej.**

(Cytaty i objaśnienia wzięto z książki „The Secret Doctrine" Tajemna doktryna) Heleny Petrownej Blavatsky, opublikowanej w Niemczech w roku 1888!)

(W dalszej części wywodów dotyczących księgi Dzyan Däniken przytacza opisy istot żyjących na Ziemi 18 000 000 lat temu. Były to początkowo bezrozumne istoty o gumowatym ciele, które stopniowo ewoluowały do form wyższych. Jest też w księdze **DZYAN** wzmianka o ogromnym lądzie, który zniknął w głębinach oceanu około 9564 lat p.n.e. i który mógł być legendarną Atlantydą.)

MAHABHARATA, KABAŁA, ZOHAR, DZYAN. Księgi te zawierają identyczne opisy faktów, które zdają się wszystkie wskazywać w jednym kierunku.

Czy są to opisy zdarzeń, które rzeczywiście miały miejsce?

Opracował: B. KRAKOWIAN

MAGAZYN ODGŁOSY

ZDZISŁAW MARZEC

KATASTROFA

Wyszedłem na ulicę. Obok akurat przebiegał jakiś osobnik, mamrocząc coś pod nosem. Usłyszałem jedynie... — dwa tysiące siedemset, och! dwa tysiące siedemset, dwa tysiące... Po chwili facet był już daleko. Dziwak.

Kilkadziesiąt metrów dalej spotkałem następnego. Ten szedł w rozpiętym płaszczu, wpatrzony tępo przed siebie. Gdy mnie mijał posłyszałem jego głos. Powtarzał w kółko — „2.800, 2.800, 2.800...“

Nie bardzo rozumiałem co się dzieje. Przystanąłem przy kiosku. Dając mi papierosy, kioskarz zapytał cichym, nerwowym szeptem:

— Słyszał pan? Już dwa tysiące dziewięćset. Co to się dzieje, 2.900!

— Panie! Ale co za 2.900? Cóż to znaczy? — zarzuciłem go pytaniami.

Kioskarz nie odpowiedział. Powtarzał tylko ponurym głosem — „2.900, 2.900. Na nic się zdały dalsze próby wyciągnięcia od niego czegokolwiek.

Ulice były jak w niedzielny poranek. Prawie nikogo. Od czasu do czasu ktoś tylko przemykał chyłkiem pod ścianami domów. Nawet tramwaje jeździły rzadko. Wszedłem do baru. O dziwo! Było tu kilkanaście osób. Wszyscy w gromadzie, pospiesznie coś jedli, kto skończył, prawie natychmiast wybiegał na ulicę. Mówili tylko o jednym. Wyglądało to jakby licytowali — 2.800, 2.900, 3.000, 3.100, 3.300, 3.200.

Byli bardzo podnieceni i chyba przestraszeni!

Nagle ktoś nowy wpadł do baru. Podbiegając krzyknął do nas — 3.700!

Wszyscy zerwali się z miejsc. Popychając, tłoczono się przy wyjściu. Mnie zagarnięto również. Za chwilę byłem już na ulicy. Nawet nie zdążyłem zapytać o czym mówiono, tam w barze. Na ulicy było teraz sporo osób. Wszyscy jednak gdzieś biegli, spieszyli się. Wyglądali na dziwnie przerażonych. Słyszałem jak powtarzano — 3.900, 3.900.

W pewnym momencie przebiegł koło mnie mały, zgarbiony staruszek szepcząc — 3.600, 3.600.

Po tym jego panicznym wrzasku zrobiło mi się trochę nieswojo. Czegoś się boją — myślałem. Coś tu jest. W każdym bądź razie, dobrze się nie dzieje.

Z przejeżdżającego tramwaju usłyszałem chóralne zawodzenie — 4.200, 4.200. Przyspieszyłem trochę kroku. Może lepiej wracać do domu. Godzinę temu mówili 2.700 a teraz już 4.200. Śmierdząca sprawa. Po drugiej stronie ulicy jakaś kobieta krzyczała — 4.400. Nie ma co czekać, chodu. Mówiąc to zauważyłem, że biegnę już od paru chwil.

Dogonił mnie facet w kapeluszu. Byłem przerażony. 4.500 — wychrypiał mi do ucha. Ruszyłem szybciej. 4.500 — krzyknąłem. Widziałem jeszcze jak rzucili się z powrotem do wnęki.

Byłem już mokry od potu. Żeby tylko zdążyć do domu. W powietrzu gonił mnie czyjś głos — 4.700, 4.700. Nie miałem sił biec szybciej. 4.700, 4.700 — powtarzałem już teraz bez ustanku. Mijałem ludzi biegnących, zderzających się, przewracających.

Wreszcie zamajaczyły znajome domy. Przed bramą z rozbitego samochodu dobiegał głos — 4.900. Wpadłem do mieszkania. 4.900 — rzuciłem ostatkiem tchu i padłem jak nieżywy na tapczan.

— Coś ty zwariował — zapytała żona wyglądając z pokoju. — 4.900 — mamrotałem.

— Nie 4.900 a 5.000. Podali przed chwilą przez radio. Dolar spada na łeb, katastrofalnie. Ostatni kurs 5.000 dolarów za naszą jedną złotówkę.

WENUS - 75

Fot. Archiwum

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO

Jan Koprowski

Roman Bratny

BOHDAN PIĄTKOWSKI

ROZKOSZE Z TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY

Już z daleka wielki neon wabił niebieskim napisem: „Euforia — Spółdzielnia Usługowa Rozkoszy z 1001 nocy”.

W pustym lokalu znajdował się tylko opasły jegomość w czerwonym fezie na głowie. Ściany ozdabiały stosowne napisy „Skargi i zażalenia rozkoszobiorców przyjmuje prezes Spółdzielni w poniedziałki od godz. 14.00 do godz. 16.00”. „Nasz klient nasz pan”. „Pamiętaj o bezpieczeństwie i higienie rozkoszy” oraz „Cennik świadczonych usług”.

— Na początek prosiłbym o nargile — zwróciłem się do dysponenta rozkoszy, a dygotałem przy tym z niecierpliwości.

— Nargie... co? „Nargile?” Nie słyszałem — obojętnie odpowiedział pan w fezie.

— To taka wschodnia fajka, z długim, giętym cybuchem...

— Pani Wyłuskany! — zwrócił się do rozczochranej wiedźmy, która myła posadzkę. — Słyszała pani o tych fajkach?... No, widzi pan, nikt z personelu nic nie wie, a pan tu z pretensjami. Niech pan sobie wybierze coś z cennika, choć prawie wszystko wykreślone, bo załoga częścią na chorobowym, częścią na szkoleniu.

— A co właściwie mogłoby być?

Ekspedient uśmiechnął się i bezradnie rozłożył ręce.

— Zależy co pan sobie życzy: mamy rozkosze mechaniczne i świadczone przez hurysy. Może być „ukojenie fakira”...

— „Ukojenie fakira”, a co to takiego — ciekawie spytałem i zanuciłem pod nosem „O. bajadero, nocy tej moja bądź...”.

— A co może być w tej cenie? — zdziwił się funkcjonariusz spółdzielni. — Łóżko z kolcami.

Byłem zadowolony, że nie opłaciłem „ukojenia”, gdyż byłoby teraz nijako wycofywać się.

— Zaraz wybierzemy coś innego — zagadałem szybko. — Muszę przyznać, że nigdy nie miałem zamiłowania do tak odległych krajów jak Indie. Gdyby pan miał coś z bliższych stron...

— Dlaczego nie! — odrzekł posiadacz czerwonego nakrycia głowy. — Mogą być, jak mówiłem, rozkosze w trzech gatunkach: mechaniczna, samoobsługowa i świadczona przez hurysę. Co pan życzy?

— Prosiłbym raczej o mechaniczną — wyjąkałem rumieniąc się, gdy ukradkiem zerknąłem na cennik.

Grubas zdjął fez i wytarł spocone czoło.

— Może być i mechaniczna — zgodził się. — Tylko przedtem podpisz pan oświadczenie, że uprzedzono pana o usterkach aparatu i w razie uszkodzenia izolacji spadkobiercy nie będą mieli do nas pretensji.

Zimny dreszcz przebiegł mi po krzyżu.

— Spadkobiercy? — powtórzyłem. — A w ogóle co to za rozkosz?

— To pan nie wie? — otworzył szeroko oczy. — Drapanie w pięty! Tylko, że drapaczka nam się zepsuła i albo skrobie powietrze, albo poraża rozkoszobiorcę.

— Wobec tego postąpimy inaczej — zaproponowałem. — Pożyczę od pana japońską rączkę z kości słoniowej i podrapię się samoobsługowo.

Ale tłuścioch potrząsnął głową, aż chwast przy jego fezie zatańczył na boki.

— Na razie — rzekł — pan Wyłuskany używa jej do czyszczenia szpar w posadzce. Chyba, że pan poczeka, aż się skończy sprzątanie.

Miałem już zamiar iść do domu, ale wstyd mi było niepotrzebnie zawracać głowę uprzejmemu rozmówcy. Zamknąłem oczy i w pamięci szybko przeliczyłem posiadane pieniądze.

— Niech będzie hurysa — drapaczka — powiedziałem. — I rachatłukum na dodatek.

— Tak trzeba było od razu — zauważył z uznaniem i wypisał rachunek. — Proszę, oto rachatłukum.

To mówiąc podsunął mi talerzyk, na którym leżał kawałek twardej marmelady jabłecznej.

— Czy pan kpi — oburzyłem się.

— Dlaczego? — spytał niewinnie. — To nasza inicjatywa oszczędnościowa. Nawet premię za nią dostaliśmy.

— A co z hurysą?

— Prawda, hurysa — rozpogodził się. — Fatma! — krzyknął w kierunku pani Wyłuswany — klient czeka, wkładaj kwef!

— W najbliższy poniedziałek idę do prezesa na skargę — powiedziałem oburzony.

— Przykro mi, ale nic z tego — zimno stwierdził ekspedient. — Zarząd spółdzielni wyjechał po nowe wzorce do Kabulu. Wrócą za jakieś pół roku.

HORACY SAFRIN

ŚWIETLIKI

Nie chcąc iść w ślady Piłata, unika umywania rąk.

* * *

Stary kawaler przypomina mi wytrwałego piechura, który nie uległ jeszcze wypadkowi drogowemu.

* * *

Kto szuka w kobiecie „czegoś więcej”, rzadko zasłuży na miano uczciwego znalazcy.

* * *

Zabobonne niewiasty wszędzie widzą złe i dobre duchy. Z wyjątkiem ducha czasu.

* * *

Są ludzie, którzy cierpią na chroniczny zez: na każdą nowość spoglądają z ukosa.

* * *

Twierdzi, że przebył szkołę życia. To prawda. W oślej ławce.

* * *

Żona niekochana jest jak marcowe słońce: ani ziębi, ani grzeje.

* * *

W dziedzinie oświaty najkosztowniejsze bywa „uczenie się na własnych błędach.”

* * *

Wystąpił z otwartą przyłbicą. I z miejsca otrzymał siarczysty policzek.

* * *

Najbardziej ciąży człowiekowi pusty portfel.

* * *

Ongiś trubadur wyanielał kobietę, dziś czyni to najniezawodniej maseczka ziołowa. Mon Dieu, żyjemy w stuleciu udoskonaleń technicznych!

* * *

„Nikt nie jest prorokiem w swoim kraju”. Przysłowie to pasuje jak ulał do naszych rodzimych synoptyków.

* * *

Był bardzo mądrym dzieckiem. I pozostał przy dziecinnym rozumie.

* * *

Choć nie ma ZASAD — wbrew prawom chemii — często wywołuje KWASY.

* * *

O pewnym dyplomacie: Ważne jest to, co mówi. Ważniejsze to, co przemilcza.

POWIĘKSZENIA

ANDRUS

W „Perspektywach” przeczytaliśmy tłumaczenie fragmentu wspomnień Lwa Bezymienskiego; mowa tam o niejakim pułkowniku armii amerykańskiej nazwiskiem... Andrus.

Chodzi o komendanta norymberskiego więzienia płka Andrewsa. Jak widać tłumacz nie wie, że w języku rosyjskim cudzoziemskie nazwiska pisze się w brzmieniu fonetycznym; przetłumaczył dosłownie i wyszło głupio.

SĄ DRAMATURDZY

Od lat słychać narzekania, że mało mamy współczesnych polskich dramaturgów. Okazuje się — nieprawda!

Ostatnio w Warszawie wybrano zarząd Klubu Dramatopisarzy Polskich. Klub ma co prawda jednego prezesa, ale za to dwóch wiceprezesów, dwóch sekretarzy i trzech członków Zarządu.

Ciekawość, ilu członków liczy cały Klub.

NA WŁASNYM PODWÓRKU

Dobrze jest śmiać się z potknięć innych, ale trzeba też czasem spojrzeć okiem prześmiewcy i na własne podwórko, gdzie od dłuższego czasu hasa bezkarnie chochlik drukarski.

Oto ten złośliwiec w 23 numerze „Odgłosów” pod zdjęciem zakładów włókienniczych im. Pietrusińskiego w ZGIERZU kładzie podpis Łódź, ujawniając tym niezdrowe ambicje do włączenia Zgierza w granice miasta Łodzi. A oba miasta są tylko w jednym województwie miejskim.

W tym samym numerze a zmienia płeć red. BOGDZIE MADEJ czyniąc z niej red. BOGDANA MADEJA.

W 25 numerze „Odgłosów” tenże złośliwiec rekomenduje na pierwszej stronie artykuł Andrzeja Blajera pt. „FAŁSZERZE PRZY PRACY” podczas, gdy na str. 12 można przeczytać artykuł tegoż autora, ale pod innym tytułem: „SZTAB DZIAŁAŁ SPRAWNIE”.

A może to nie chochlik, a może to po prostu korekta czyta nieuważnie?

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch”. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 652-44, 217-98 oraz 293 00 wew. 29, 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1303. U-12. Nr indeksu 37006 36762.